Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



I tak bywa...

Fot. W. Korsak.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 11 (751) 10 KWIETNIA 1934 R.



Na poleskim rozlewie. Fot. A. Doboski.

O DROPIU.

Wspaniały ten ptak, prawdziwy struś polski, stanowi wielce pożądane trofeum myśliwskie, tak rzadkie, niestety, w dzisiejszych czasach.

Obecnie w naszej ojczyźnie drop lęgnie się sporadycznie w niektórych zakątkach Wielkopolski, na kresach wołyńsko - poleskich i, oczywiście, nawiedza nas w swych przelotach.

Odnośnie do tego ptaka, zdaje mi się, nasza ustawa łowiecka popełniła błąd kardynalny, ponieważ niezawsze rozumowania teoretyczne koordynują się z wymaganiami praktyki życiowej.

Ochrona przyrody jest nadzwyczaj pięknie brzmiącym frazesem, ale niezawsze jej kapłani uwzględniają zasadę, że niema lepszego jej konserwatora od rzetelnego myśliwca - hodowcy. A istotnie nikt więcej od niego nie dba o zachowanie objektów swych rozkoszy i upojeń łowieckich! I to jest zupełnie zrozumiałe. Nie mówiąc o tem, że każdy polujący, naturalnie niekłusowniczego pokroju, ani czyniący to z pobudek snobizmu, musi być koniecznie *ipso facto* też i miłośnikiem przyrody, dbającym o rozmnożę, szczególniej rzadkich, wymierających gatunków.

Natomiast ochraniacz przyrody *de puro grano*, właściwie mówiąc — bardzo mało ma kontaktu z owemi „białemi krukami".

Bo gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach krzyżować się mogą wzajemnie ich drogi w terenach? Specjalne wyprawy, jak na egzotyczną faunę, chyba nie bardzo często dadzą się zorganizować. Zresztą, nie widzę możliwości, by, nie mieszkając na miejscu w rewirach, w których wylęga się jedna, czy druga para dropi, luminarz nauki był w stanie należycie przeprowadzić drobiazgowe i żmudne badania, wymagające stałej obserwacji.

Przypuśćmy na chwilę, że nawet uda mu się urzeczywistnić owe manipulacje. Jakież z tego mogą wyniknąć realne korzyści dla celów ochrony i dalszego prosperowania rzadkich okazów?

Mojem zdaniem — żadne!

Żeby coś pod tym kątem widzenia zdziałać, trzeba być w danej kwestji bezwzględnie zainteresowanym. Krótko mówiąc, trzeba na badane objekty polować, zaciekawiając się wymierającemi osobnikami. Innego sposobu niema.

Proszę mi wierzyć, że li tylko hodowca-myśliwy ma możność, posiadając na swych terenach prawie że historyczne już sztuki, należycie i zawodowo zatroszczyć się o nie.

Zresztą drogą eksperymentalną mogliśmy się już o tym fakcie dobitnie przekonać. Przecież widzimy to samo na „wymierających" łosiach, pomijając zastępy całe banalniejszych zwierzostanów, które tak pysznie rozkwitły pod opieką właścicieli naszych rodzimych łowisk.

Wątpię bardzo, żeby w rewirach, nie stanowiących prywatnej własności, będących nawet pod nadzorem najtroskliwszych „ochraniaczy" teoretyków, stan łosi mógł być podniesiony z trzech do trzechset sztuk, jak to miało miejsce w dawidgródeckiej ordynacji Karola ks. Radziwiłła.

Aczkolwiek nikt bynajmniej nie kwestjonuje dobrej woli i głębokich wiadomości panów uczonych profesorów, atoli dla osiągnięcia pozytywnych wyników niezbędną jest długoletnia obecność lokalna tego, w czyich rękach spoczywają losy rozmnoży, albo odrodzenia jakiegoś gatunku.

Nie dość, rozpatrzywszy się w danych okolicach i warunkach, wydać odpowiednie, racjonalne zarządzenia; nie dość zabronić całorocznego odstrzału i później ze spokojem oczekiwać na dodatnie zmiany. To nie może przynieść pożądanych rezultatów. Li tylko nieustanną, żmudną pracą w przeciągu szeregu lat, trzymając ustawicznie rękę na pulsie tego lub innego zagadnienia, bądź to aklimatyzacji, bądź rozmnoży zanikających zwierząt i ptaków, można czegoś dokonać.



Dwunastak z nadl. Oborniki. Rykowisko 1927 r.
Fot. inż. Martyniec.

Słyszę argument: a czyż tam, na miejscu znaleźć nie można odpowiednich wykonawców, ludzi sprawie tej oddanych; wyszkolić zresztą chętnych? Czyż nie na to mamy wśród współpracowników leśnych ludzi, miłujących przyrodę, którzy tak chętnie poświęcić gotowi swój czas i trud dla dobra tej sprawy?

Tak, mamy i to bardzo wielu! Ale nie trzeba zapominać, że pracownicy ci zawaleni są po uszy innemi służbowemi obowiązkami, oraz ogromem kancelaryjnej roboty.

Przecież stan łosi i bobrów w państwowych rewirach znakomicie podniósł się, pod ich egidą — zaooponują mi znowu.

Śmiem wątpić i suponuję, że, gdyby te same rejony były pod władzą prywatnych amatorów przyrody, to ilość tych zwierząt byłaby tam daleko większą.

Dlaczego bowiem nigdzie, w żadnym państwowo-rezerwatowym terenie, liczyć łosi na setki, jak w Dawidgródku, nie potrafimy?

Trudna sprawa...

Z długoletniego doświadczenia wiem, ile benedyktyńskiej cierpliwości, nieprzebranych zapasów sił fizycznych i zabiegów pedagogicznych zużyć musi w stosunku do personelu wykonawczego sam właściciel łowiska, które nanowo zamierza stworzyć. Zawsze i wszędzie jednak dopnie swego celu, stając się Pygmaljonem i zaszczepiając życiodajne pierwiastki w martwą Galateę. Dlatego więc i przedewszystkiem powinien cieszyć się pewnemi prerogatywami dla ułatwienia mu dzieła.

Psychika każdego człowieka opiera się zawsze na pewnych względach korzystania z owoców swych trudów i mozołów. Mentalność myśliwska związaną koniecznie być musi z możliwością odstrzału. Nikt i nigdzie nie będzie badał, hodował i opiekował się zwierzyną, do której dostęp strzelecki jest dla niego wzbroniony. Tembardziej, że on jeden tylko należycie jest *au courant* najdrobniejszych szczegółów bytowania i warunków egzystencji zwierzyny, a więc dalszej jej konserwacji i ewentualnej rozmnoży.

Otóż pomimo, że na dropie przez cały rok polować nie wolno, zaprawdę chyba pies kulawy może się temi „strusiami" opiekować. Absolutnie nie widzę więc dobrej racji i motywów podobnie bezwzględnego zakazu.

Każdy chyba zrozumie, że nie na rozparcelowanych działkach wylęgają się owe szlachetne ptaki, a więc, jeśliby szczęśliwcy losu, którzy posiadają na swych terenach podobne lęgowiska, mieli nadzieję zdobycia chociażby jednego dropia w ciągu swej karjery myśliwskiej, przekonany jestem, że zupełnie inaczej odnosiliby się do tej sprawy.

Drop jest stworzeniem tak dalece przebiegłem, ostrożnem, spostrzegawczem i czujnem, że znikomą jest obawa upolowania pięknego *otis tarda* przez tego lub owego *sontags-jägera*, czy drapichrósta-kłusownika.

Gdyby nawet i zdobył wypadkowo ktoś podobny jedną czy dwie sztuki w sezonie, to niech mu to na zdrowie będzie, gdyż wygrał na loterji okrągły miljon.

Należałoby choćby ze trzy miesiące, naprzykład sierpień, wrzesień i październik wyznaczyć na okres polowania na dropie*).

Ileż to obserwacyj dostarczą polujący i ochraniający zarazem amatorzy-przyrodnicy — nawet dla nauki.

A i wrażenia z polowań na te polskie strusie, do których stosować należy wiele trudnych i niesamowitych metod, należą do najbardziej ciekawych.

ADAM RZEWUSKI.

*) Najgłówniejszą przyczyną zaniku dropi jest coraz gęstsze zaludnienie i zabudowywanie pustych doniedawna obszarów. Odstrzał w sprawie zaniku dropi nie odegrał żadnej roli i z tego powodu zakazu polowania na dropie nie można uznać za celowy. *(Przyp. red.)*.

Panów Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na drugi kwartał b. r., lub na miesiąc kwiecień. Jednocześnie prosimy o propagowanie idei, którym służy nasze pismo i o zjednywanie mu coraz dalszych kół zwolenników.

Przypominamy, że warunki prenumeraty obniżone zostały z dniem 1-go stycznia r. b.

Administracja.

PIEŚŃ WIOSNY.

Maryla Zarzecka szła żwawym krokiem w kierunku stajni cugowej.

Była to młoda jeszcze osóbka, w miarę wysoka, o zgrabnej figurce i radośnie patrzących na świat, niebieskich oczętach, ubrana w czarną czapkę na jasnych, wysoko upiętych włosach, w buty z cholewami, odpowiednie do nich granatowe spodnie i takiegoż koloru rajtrok, zapięty na dwa rzędy guzików, odsłaniający pod szyją białą bluzkę.

Za panienką podążała spiesznie para jej ulubieńców: dwa żółte jamniki. Biedne psiny zdawały się ledwo nadążać na swych krótkich, krzywych nóżkach. Ze stajni wypadł na spotkanie biały foksterjer, który, przywitawszy panią, zabrał się w radosnych podskokach do urządzania dzikich harców ze swymi pałacowymi kolegami.

Maryla tymczasem weszła do koni.

— Jak się macie, cieśki — zawołała, zatrzymując się na korytarzu stajennym.

Odpowiedziało jej radosne rżenie i kilka rasowych końskich łbów odwróciło się w stronę przybyłej.

— A co, może cukru wam się znów zachciało? — mówiła dalej, podchodząc do drzwi boksu, nad któremi ukazała się zgrabna głowa jej wierzchówki.

Mądre oczy zwierzęcia wpatrywały się łakomie w kieszeń pani, skąd też wydobyła po chwili biały smakołyk i podała faworytce na wyciągniętej dłoni.

— No, masz Baśka, masz — mówiła przytem do klaczy — żebyś nie myślała, iż o tobie nie pamiętam.

Baśka, schrupawszy pospiesznie jeden kawałek, poczęła się oglądać za dalszym. Dostała drugi, a reszta cukru była następnie sprawiedliwie podzielona pomiędzy stojące obok cztery konie wyjazdowe i jednego jeszcze wierzchowego, na którym jeździł zwykle miejscowy praktykant, Karol Krzycki. Każdemu dostało się oprócz tego kilka czułych słówek i delikatnych pieszczot ręki po lśniących szyjach.

Ledwo Maryla skończyła swą prawie że codzienną rozmowę z końskimi przyjaciółmi, ukazał się w stajni furman.

— Mój Wincenty! Proszę mi Baśką osiodłać — zwróciła się do niego.

— Ale też panienka całkiem kobyłę zajeździ — zrzędził, ściągając siodło z kołka i niosąc je na głowie do boksu.

— Co też Wincenty powiada, przecież ja bardzo wolno i ostrożnie jeżdżę.

— Ładnie mi wolno, a wczoraj kobyła wróciła cała w pianie.

— Raz się tylko tak zdarzyło, bośmy się ścigali z panem Karolem.

— Mnie ta wszystko jedno, ale zawsze szkoda bydlęcia — marudził dalej Wincenty, któremu, jako staremu słudze, pamiętającemu jeszcze dobrze dziadka Maryli, wiele uchodziło.

— Dzisiaj zato wolno pojadę — pocieszała go, a patrząc na drugiego wierzchowca, dodała — widzę, że Piorun stoi, to pan Karol nie pojechał?

— Pan praktykant całe dopołudnie jeździł kajś na nim, a tera musi se na piechotę poszedł — objaśniał furman, wyprowadzając osiodłaną Baśkę przed stajnię.

Maryla wyszła także.

Psiarnia obstąpiła znów swą panią, nadskakując jej ze wszystkich stron.

— Pieski zostaną w domu — odezwała się do nich łagodnym, choć stanowczym głosem.

Cała trójka, stuliwszy uszy, stanęła z osowiałemi minami i, posłuszna otrzymanemu rozkazowi, nie ważyła się już ruszyć za Marylą, która odjeżdżała stępa z przed stajni, kierując się ku bramie.

Wydostawszy się w pole, odetchnęła pełną piersią. Był to jej codzienny wypoczynek po pracowicie spędzonym dniu.

Ukończywszy po klasztorze roczne kursy ogrodnicze, oddawała się z całym zapałem pracy w ogrodzie, który został od jesieni oddany do jej wyłącznej dyspozycji. W ciągu zimy niewiele z nim miała roboty, ale oto już kwiecień się rozpoczął, siedziała więc od rana w inspektach, rozsadnikach, doglądała szykowania zagonów pod wczesne warzywa i własnoręcznie przycinała drzewka owocowe.

Wszystko jednak mu i mieć swoje granice. Taką granicą dla pracy Maryli był podwieczorek, po którym robiła sobie już na resztę dnia wakacje. O ile tylko pogoda dopisywała, dosiadała wtedy swej ulubionej Baśki i bujała na niej po polach i lasach.

Jako jedyne dziecko bardzo zamożnych rodziców, nie zaznała dotąd nigdy żadnych trosk i kłopotów codziennego życia, choć nie można powiedzieć, by to życie lekko traktowała.

Państwo Zarzeccy, kochając swą jedynaczkę, zwracali jednocześnie baczną uwagę na to, by dać jej staranne i oparte na głębokich zasadach wychowanie, toteż Maryla, pomimo swych dwudziestu zaledwie wiosen, umiała się już poważnie nad sobą zastanawiać.

Nie przeszkadzało jej to wcale odczuwać narazie pełni radości życia, a pełnia ta pogłębiła się jeszcze, gdy dziewczyna spostrzegła, że jest zakochana.

Kochała się bez pamięci swą pierwszą dziewczęcą miłością. Nie mogła pojąć skąd to na nią przyszło.

I teraz właśnie, jadąc wolno wśród pól, które zaczęły ożywiać pierwsze porywy wiosny, roztrząsała w główce historję swego uczucia.

Przypominała sobie, jak dowiedziała się od rodziców, że przyjedzie do nich na praktykę syn dobrego ich znajomego. Pamiętała doskonale, jak była początkowo niezbyt zadowolona z perspektywy ubawiania jakiegoś zupełnie obcego jej młodzieńca, który okazał się w rezultacie bardzo miłym kompanem. Zaprzyjaźniła się też z nim prędko, zwłaszcza w czasie długich, zimowych wieczorów, które spędzali nieraz na bardzo poważnych dysputach. Ta przyjaźń zaczęła przybierać dla Maryli coraz dziwniejsze formy, aż przeszła wreszcie w gorące uczucie, z którego sobie w tej chwili jasno już zdawała sprawę. Nie poruszali nigdy tych tematów z Karolem, który zachowywał się zawsze w stosunku do niej jak najpoprawniej. Wiedziała dobrze, że ją lubi, ale czy może liczyć z jego strony na odrobinę wzajemności, to było właśnie pytanie, które coraz częściej nie dawało jej spokoju.

Myślała właśnie o tem, patrząc z konia na piękno kwietniowego wieczoru.

Urodzona i wychowana na wsi, kochała tę wieś prawdziwie. Umiała wyczuć w każdej porze roku jakieś specyficzne radości dla swej wrażliwej duszy. W tej chwili jednak patrzyła na wszystko jakby zupełnie obojętnym wzrokiem, zatopiona całkowicie w trapiących ją myślach.

Natura wkoło cieszyła się z pierwszych ciepłej szych powiewów wiosny, udzielając podświadomej radości dziewczynie. Pomyślała więc, że choćby jej Karol nie kochał jeszcze, to może wkońcu pokochać. Wszak znała go już kilka miesięcy i nie słyszała, by był kimś innym zajęty. Wygadałby się przecież kiedyś, choćby niechcący.

— Nie jestem żadna brzydula — przeszło jej przez głowę na pociechę — bym mu się nie mogła podobać.

Pod tem wrażeniem uśmiechnęła się sama do siebie i, zebrawszy cugle koniowi, ruszyła raźno kłusa.

Kilka minut prędszej jazdy przyprowadziło ją do równowagi. Zwolniła znów, poklepała Baśkę po szyi i poczęła się namyślać, gdzieby tu pojechać.

Słońce już było niezbyt wysoko, ale została się jeszcze z godzina do końca dnia.

Po krótkim namyśle postanowiła jechać przez drugi ich folwark, który znaczył się na horyzoncie kępą wysokich topoli, a następnie wracać do domu przez las. Wydostawszy się na szeroki gościniec, prowadzący właśnie do owego folwarku, skorzystała ze względnie suchej i równej drogi, po której puściła się cwałem.

Taką jazdę lubiła najbardziej. Ponosiło ją razem z koniem. Zdawało się Maryli, że skrzydeł dostaje i pędziła, ile tylko poczciwe stworzenie mogło z siebie wydobyć sił.

Kępa topoli rosła w oczach. Trzeba było zwolnić.

— Poczciwy Wincenty znów będzie kaprysił, że konia zgoniłam — pomyślała Maryla, jadąc stępa przez podwórze i kierując się ku lasowi — pojadę teraz wolniej, to mi Baśka ostygnie.

W chwilę potem chowała się w majestatycznej głębi lasu.



„Crack". Hodowca i właśc. p. K. Świderski.

Lubiła pola z ich daleką perspektywą. Nosiło ją po nich, gdy dosiadła dobrego konia. Mogła też na piechotę robić dość duże spacery, ciesząc się rozległością horyzontu. Las jednak robił na dziewczynie znacznie silniejsze wrażenie. Więcej tu było jakiejś nieokreślonej tajemniczości. Więcej ciekawiących ją głosów, z któremi nie potrafiła się dotąd oswoić. Wieczorne godziny jeszcze bardziej potęgowały tę tajemniczość. Jechała wtedy zwykle wolno, wsłuchując się we wszystko wkoło siebie, podpatrując przeróżne cienie, snujące się z drzew po drodze i wnikając ciekawym wzrokiem w ciemne gąszcza.

Wszystko, co ją tu otaczało, wydawało się być żywem w tem znaczeniu, w jakiem ona czuła, że żyje. Nietylko więc cała skrzydlata i czworonożna fauna leśna, ale nawet wszystkie drzewa i krzaki tworzyły w jej wyobraźni ciekawe społeczeństwo leśnych istot, mających swe własne życie wewnętrzne.

Mijała właśnie dużą polanę, na której stał samotnie potężny dąb. Przyszło Maryli do głowy, ile też ten staruszek musi pamiętać pokoleń, które u stóp jego padały kolejno pod ludzką siekierą. Ile scen wesołych i dramatów naprzemian rozegrało się w cieniu jego rozłożystych konarów. Znała go bardzo dobrze z częstych w te okolice spacerów, pamiętała, jak w lecie szedł po jego liściach szmer tajemniczy, który napewno mógłby jej coś opowiedzieć, gdyby tylko rozumiała tę mowę. Obecnie stał niemy, ogołocony ze swej zielonej szaty. Tylko tu i ówdzie ruszało się jeszcze w wiosennym powiewie kilka uschniętych, zeszłorocznych liści.

Baśka stąpała trwożnie, rozglądając się po bokach dróżki leśnej. Zaniepokoiła się czasem jakimś szmerem podejrzanym, czy też dziwacznym kształtem mijanych krzaków, kamieni, lub starych, spróchniałych pni. Tuliła wtedy uszy, lub zwracała je dyskretnie w daną stronę, lecz, uspokojona pewnością amazonki, szła dalej, posłuszna jej woli.

Kończył się las sosnowy i dróżka, którą Maryla jechała, zaczęła się przewijać poprzez ciemne, olszowe gąszcze, wśród których błyskały często kałuże z niedawnych roztopów. Ciągnął od nich chłód i wilgoć.

— Muszę trochę ruszyć kłusa, bo zmarznę — pomyślała dziewczyna.

W tej chwili rozległ się gdzieś niedaleko strzał, a zaraz po nim drugi. Baśka skoczyła lekko i stanęła, ściągnięta wodzami.

— Kto to mógł strzelać — przemknęło przez głowę Maryli.

Nie była wystraszona, lecz ciekawiło ją tylko, kto mógł polować i postanowiła przekonać się o tem. Ruszyła śmiało dalej, wiedząc, że zaraz będzie miała dróżkę, prowadzącą w kierunku, skąd było słychać strzały.

W tym samym czasie, w którym Maryla zabawiała się w stajni ze swymi faworytami, Karol Krzycki szedł ze strzelbą w stronę lasu.

Udało mu się dostać od pryncypała pozwolenie zapolowania na słonki, których ciąg zaczął się właśnie, jak opowiadał jeden z gajowych.

Karol był bardzo zapalonym myśliwym, nęciły go przytem głównie polowania, dające jak najwięcej zetknięcia z naturą, umiejącą przemawiać do jego wrażliwej duszy. Nie równał więc ciągu słonek, toków cietrzewi, nawet zasiadki na lisa z dużemi, zbiorowemi polowaniami z naganką.

Jako syn zamożnego przemysłowca, urodzony i wychowany w Warszawie, tylko dorywczo bywał na wsi, wyjeżdżając na święta, lub wakacje do krewnych. Wieś ciągnęła go jednak magnetycznie, toteż stary pan Krzycki, widząc to zamiłowanie w synu, sam go namawiał na rolnictwo, obiecując nawet kupno folwarku, gdy Karol skończy wyższe studja i wykaże się następnie dobrą opinją conajmniej dwuletniej praktyki rolnej we wzorowych gospodarstwach.

Projekt pana Krzyckiego był dla niego samego pewną satysfakcją moralną, że choć syn jego będzie mógł wrócić do roli, na której wychowywał się ich ród od całych pokoleń i z którą dopiero po wypadkach powstańczych dziadek Karola musiał się pożegnać.

Kończył się niebawem młodemu rolnikowi wyznaczony mu przez ojca okres próby. Odbył bardzo dobrze studja, przeszedł następnie trudną praktykę roczną w jednem z gospodarstw kaliskiego, a teraz oto na lipca rok mu ubiegnie drugiej praktyki u pana Zarzeckiego. Obydwaj szefowie chwalili swego praktykanta przed uradowanym ojcem.

Nic przeto dziwnego, że Karol czuł się zadowolony z siebie, widząc niedługie już zrealizowanie niedawno jeszcze we mgle będących projektów. Osiądzie oto na własnym kawałku ziemi i z całym zapałem swych dwudziestu sześciu lat odda się pracy, którą prawdziwie polubił.

Poczuwszy strzelbę w ręku i perspektywę tak miłego polowania, jakiem były dla niego ciągi słonek, szedł ku lasowi radośnie, wchłaniając w siebie rześkie, wiosenne powietrze.

Lecz nietylko wyżej przytoczone powody wpływały na tę radość życia, jaka biła od jego postaci.

Karol kochał do szaleństwa.

Niedawno jeszcze uważał to za bzdury, o których

pisują tylko w powieściach. Miał w swem życiu, w szkolnych jeszcze czasach, jakąś całkiem sztubacką miłostkę, która prędko minęła i ślad po niej zatarł się już dawno. Przychodziły potem przelotne flirciki, przeważnie na bardzo płytkiem podłożu, lecz mijały jeszcze prędzej. Tymczasem to, co teraz odczuwał, nie było podobne do żadnego z tamtych przeżyć.

Obraz panny Zarzeckiej wrył się w serce Karola z taką siłą, że zrozumiał, iż nic stamtąd go nie wymaże.

Nie wiedział jeszcze, co myśleć o wzajemności Maryli. Chwilami zdawało mu się, że darzy go czemś więcej, niż sympatją, ale wstrzymał się dotąd z oświadczeniem swego uczucia dziewczynie, by zbyt wczesnem wystąpieniem nie popsuć stosunków. Z dwojga złego wolał niepewność, nawet łudzenie się, niż formalną przegraną, a życia bez Maryli nie umiał już sobie wystawić.

Jednak ta niezbyt jasna jeszcze sytuacja nie przygnębiała Karola bynajmniej. Przeciwnie, wierzył w powodzenie w życiu. Do tej pory wszystko mu szło dobrze, dlaczegóżby więc tutaj miał doznać zawodu.

Nie czas na pesymizm, gdy się ma dwadzieścia kilka lat i Karol daleki był od niego.

Z głową przepełnioną takiemi myślami, a sercem przejętem radosnem uczuciem stanął wreszcie nad lasem. Tutaj już żyłka myśliwska musiała wziąć górę.

Szedł wszak na słonki, musiał się przeto zdecydować, gdzie najlepiej będzie tego wieczoru stanąć. Z relacji gajowego, któremu zawczasu polecił wybadanie tej sprawy, dowiedział się, że poprzedniego dnia ciągnęły w dwóch miejscach: nad łąkami i nad sporym smugiem, w głębi olszyny. Po namyśle skierował się w to drugie miejsce.

Z doświadczenia wiedział, że słonki ciągną najlepiej bezpośrednio po zachodzie słońca, ale, ponieważ mogą się też i wcześniej pokazywać, trzeba zawczasu być na stanowisku. Spojrzawszy na słońce, przekonał się, że nie potrzebuje się spieszyć.

Rozkoszował się po drodze leśną atmosferą, która działała na niego podobnie, jak na Marylę. Różnica, jaka między tym dwojgiem zachodziła, polegała na tem, że na Marylę las działał przez jej wrażliwą na piękno natury duszę i przez nieokreśloną bliżej, a intrygującą zarazem tajemniczość, Karol zaś, odczuwając równie silnie zetknięcie z pięknem przyrody wogóle, a z lasem w szczególności, patrzył nań głównie z punktu widzenia myśliwskiego. To, co Marylę podniecało tajemniczością, dla Karola było ową istotą lasu, którą rozumiał doskonale. Każdy słyszany tu odgłos przemawiał doń całkiem wyraźnie, każdy ślad, nieraz ledwie dla oka widoczny, mówił mu o tutejszem życiu.

Jednem słowem, czuł się w lesie, jak w domu.

Znalazłszy się wreszcie na owym smugu i rozejrzawszy dokładnie w otoczeniu, zajął najlepsze na oko stanowisko i postanowił nie ruszać się stąd, dopóki tylko będzie coś widać na świecie. Pierwszy wieczór chciał poświęcić na obznajmienie się z ciągiem.

Nabił strzelbę i zamienił się cały w słuch.

Wieczorny koncert zaczynał się nadobre.

Gromady kosów gwizdały po świerkowych kępach, porozrzucanych tu i owdzie wśród olszyny. Z niedalekich łąk dochodziły żałosne głosy czajek. To znów w powietrzu zabeczał bekas, czasem „barankiem" zwany. Karol podniósł głowę i udało mu się dojrzeć tego małego długodzioba, jak wzlatywał w górę i opuszczał się raptownie w dół, wydając przytem rozstawionemi skrzydełkami owe, do beczenia rzeczywiście podobne, tony. Hen, w oddali słychać było jękliwy klangor żórawi. Od czasu do czasu żuk przeleciał koło myśliwego z głośnem burczeniem. Kilka kaczek śmignęło z kwakaniem i poświstem skrzydeł nad samem stanowiskiem.

Karol rozróżniał doskonale te wszystkie tony, łączące się w jeden wielki koncert muzyki leśnej.

Wciąż jeszcze brakowało w nim słonki.

Wytężając słuch, myśliwy obserwował jednocześnie wierzchołki olch. A nuż przemknie się tam cichaczem ten dotąd napróżno oczekiwany ptak.

— Czyżby mnie gajowy okłamał? — przyszła Karolowi do głowy myśl — może tu wcale niema ciągu.

W tej chwili, jakby na zaprzeczenie owych przypuszczeń, usłyszał gardłowy głos:

— Kchchrap, kchrap.

Głos ten powtarzał się w równych odstępach czasu coraz bliżej, aż wreszcie wypłynęła nad smug swym niepewnym lotem słonka i znikła zaraz w przeciwległej ścianie lasu, skąd doszło jeszcze kilka chrapnięć.

Karol nie mógł strzelić z powodu zbyt dużej odległości, ucieszył się jednak z widoku słonki i nabrał więcej animuszu do dalszego stania.

Nie potrzebował czekać długo. Chrapanie odezwało się tym razem z drugiej strony. Ledwo je usłyszał, już miał słonkę nad samą głową.

Strzelił z rzutu i chybił. Ptak opuścił się szybko ku ziemi, skręcił zaraz potem w górę i już-już miał się skryć w wierzchołkach drzew, gdy został drugim strzałem strącony na ziemię.

— No, mam choć jedną! — wyrwał się okrzyk z piersi Karola.

Podbiegł ku miejscu, gdzie słyszał padającą słonkę. Leżała już bez życia. Podniósł ją i, przytroczywszy do boku, wrócił na dotychczasowe stanowisko.

Chrapania odzywały się teraz coraz częściej w różnych stronach smugu. Widać było też i słonki same, ale wciąż zbyt daleko na strzał.

Drobne ptaki cichnąć już poczęły. Zato odezwał się kilka razy syczący głos cietrzewia.

— A więc i one tu są, może się i na toki kiedy wybiorę — pomyślał Karol.

Cieszył się właśnie z tego projektu, gdy usłyszał czyjeś kroki, zbliżające się w stronę stanowiska. Po chwili mógł już rozróżnić stąpanie konia. Zdumiony, ktoby mógł tutaj jechać, odwrócił się w stronę, skąd dochodził odgłos kroków i ujrzał wynurzającą się z olszyny na koniu Marylę.

W pierwszej chwili oboje oniemieli z wrażenia, jakie to niespodziewane spotkanie na nich zrobiło.

— Skąd się pani tu znalazła?—pytał Karol, ochłonąwszy wreszcie.

— Wracałam ze spaceru i, słysząc strzały, zboczyłam z drogi, by zobaczyć, kto tu poluje — tłomaczyła mu trochę zażenowana, a trochę ucieszona jego widokiem. — Do czego pan strzelał?

— Zabiłem słonkę — odparł, pokazując jej swą zdobycz.

Wzięła podanego sobie ptaka i oglądała z zaciekawieniem.

— Jakie to śliczne — zachwycała się przytem. — Jaki ma zabawnie długi dziób. Nie widziałam jeszcze nigdy słonki. Gdzie ją pan zabił?

— Właśnie tutaj. One przeciągają teraz nad smugiem. Może pani chce zobaczyć, jak wygląda taki ciąg?

— A to nie potrwa długo? — zapytała uradowana ze sposobności zobaczenia czegoś nowego. — Nie chciałabym się spóźnić na kolację.

— Zaraz się tu pokażą, jak tylko staniemy cicho — tłomaczył, ciesząc się z możności zostania z nią choć na chwilę w tak miłem otoczeniu. — Niech pani zejdzie z konia, przywiążemy go gdzieś w krzakach, a pani tu stanie koło mnie.

Maryla zgodziła się na tę propozycję i, zostawiwszy konia, szła na stanowisko.

— Czy jednak nie będzie pani zbyt zimno? — zatroskał się Karol, widząc jej lekki strój do konnej jazdy — słońce już zaszło i chłodno się robi.

— Trochę mogę postać — odparła — tak tu ślicznie.

Pomimo tej odpowiedzi zdjął z siebie kurtkę myśliwską i okrył nią dziewczynę, choć broniła się przed tem, mówiąc:

— To pan teraz zmarznie.

— Mam ciepłą kamizelkę — uspokajał ją — za chwilę zresztą pójdziemy, bo robi się ciemno.

— A słonkę zobaczę?

— Powinny jeszcze ciągnąć, tylko stójmy cicho.

I stali razem, zasłuchani w cichnący coraz bardziej rozhowor ptasich głosów. Spokój gasnącego wieczoru zaczął się udzielać tym dwojgu zakochanym, którzy, nie wiedząc narazie nic jeszcze o swej wzajemności, odczuwali jednakowo jakąś dziwną radość wewnętrzną, przyspieszającą tętna ich serc.

Maryla, przejęta wyjaśnianiem jednej z licznych tajemnic leśnych, które tak pragnęła poznać, starała się nie stracić żadnego z tych wrażeń, jakich doznawała w tem wielkiem dla niej święcie zespolenia z naturą. Spoglądała przytem od czasu do czasu na twarz Karola, starając się wyczytać z niej jego wrażenia.

Spostrzegła raptem, że zmarszczył lekko brwi i nadstawił ucha w jedną stronę, skąd posłyszała zaraz nieznany sobie dotąd chrapliwy głos.

— Ciągnie jedna — szepnął młodzian, kładąc jednocześnie palec na usta.

Chrap powtarzał się coraz bliżej, naprzemian z krótkim gwizdem i na jasne tło nieba wypłynęła słonka.

Gdy podleciała bliżej swym chwiejnym lotem, wyciągając ku ziemi długi dziób, Maryli żal się zrobiło biednego ptaka i, widząc składającego się do strzału Karola, schwyciła go bez namysłu za rękaw, mówiąc łagodnie:

— Niech pan jej nie zabija. To taki miły ptak.

Karola w pierwszej chwili złość wzięła, że mu przeszkodzono w tak dobrej okazji do strzału, upojony jednak głosem dziewczyny, zwrócił się do niej z uśmiechem:

— Miała szczęście, że znalazła taką orędowniczkę, ale widzę, że pani nie ma ani trochę żyłki myśliwskiej.

— Dziękuję panu bardzo i przepraszam, że mu popsułam zabawę — odparła, zażenowana trochę swem postępowaniem — innym razem możeby mi było wszystko jedno, ale tak się tu czuję dobrze, że nie chciałabym psuć sobie wrażenia widokiem zabijanej słonki.

Karol, uderzony dźwiękiem głosu Maryli, spojrzał w zwrócone ku sobie jej jasne źrenice i teraz dopiero pojął, że musiał być rzeczywiście bardzo przejęty polowaniem, by nie zrozumieć tego, co także w tej chwili odczuwał.

Patrzyli sobie w oczy i obojgu się zdało, że dziać się z nimi zaczyna coś dziwnego.

Wreszcie Karol stracił panowanie nad sobą. Rzuciwszy strzelbę na krzak, przy którym stali, przygarnął ku sobie Marylę i przywarł ustami do jednej z tych dwu źrenic, które przed chwilą tak słodko na niego patrzyły.

Nie broniła mu tego, gdyż i ona już dłużej nad swojem uczuciem panować nie była w stanie.

— Moje najdroższe Marylątko! — wyszeptał po chwili.

— Jedyny mój! — odparła, tuląc rozpaloną twarz do jego piersi.

Cały świat zawirował przed Karolem. Toć on ślepy był przez tyle dni, by nie widzieć, że ona go także kocha. Serce zdawało mu się pękać z radości.

Przycisnął jeszcze bardziej dziewczynę do siebie i zaczął okrywać pocałunkami jej włosy i oczy.

Ona zarzuciła mu obie ręce na szyję i tuliła się do niego.

Spotkały się wreszcie ich usta i zwarły się w błogim, pierwszym pocałunku.

Pili z siebie miłość, której tak byli spragnieni.

Przybył jeszcze jeden potężny akord wiosennej pieśni.

Pierwsza opamiętała się Maryla.

— Już dosyć, dosyć — błagała, wydostając się z objęć ukochanego — nie można tak. Co pan sobie teraz o mnie pomyśli?

— Co ja sobie pomyślę — powtórzył, biorąc ją za rękę — pomyślę, że mam teraz taką najdroższą, jedyną osóbkę, która będzie od tej chwili dla mnie wszystkiem na świecie.

Maryla chciała coś odpowiedzieć, lecz usłyszała w głębi lasu jakieś gulgotanie.

— Co to jest? — spytała.

— To cietrzew, kogut — odparł — próbuje swego głosu na jutrzejszy koncert poranny.

— To on tak zawsze śpiewa? — pytała dalej.

— Czasem można go słyszeć o różnych porach roku, lecz przedewszystkiem rano, na tokach wiosennych. Jest to jego pieśń miłości.

— I teżby go pan wtedy zabił?

— O, toki bardzo lubię — odparł — ale mogę panią zapewnić, że w tej chwili nie byłbym w stanie strzelić nawet do cietrzewia, choć to bardzo tentująca zwierzyna.

Ciemno się już zrobiło, więc raczej wyczuł, niż dojrzał jej wdzięczne spojrzenie po tych słowach.

— Niech i on się cieszy, skoro my też święcimy naszą miłość, — dodał.

— Boże! Jak to późno — zorjentowała się Maryla — nie zdążę na kolację, dopiero będzie bura!

— To może pani gotowa jeszcze żałować naszego spotkania? — spytał, jakby obudzony tym jej nawrotem do powszedniości.

— Ej, chyba nie — odparła zalotnie — ale mimo to muszę wracać prędko.

Odnaleźli konia i, gdy Maryla miała już na niego siadać, Karol wziął ją za ręce i mówił:

— Maryluś, niech to wszystko będzie narazie tylko naszą tajemnicą.

— Ja też pana chciałem prosić o to samo.

Objął ją raz jeszcze i ucałował w oba oczy, choć Maryla broniła się od tego. Pomógł jej potem wsiąść na konia i, poczekawszy aż zginęła w mroku, udał się naprzełaj do domu.

*

Od tego wieczoru Maryla i Karol rozpoczęli nowe życie. Ziściło się dla obojga to, co uważali do tej pory za szczyt swych marzeń. Przekonali się o swej wzajemnej miłości.

Przyszły na nich jednocześnie ciężkie chwile udawania przed starszymi, że nic się nie zmieniło. Udawanie to było ułatwione przez pracę Karola, która, przy coraz dłuższym dniu i wzmożonych robotach w polu, więcej mu teraz czasu absorbowała.

W powszednie dni spotykali się prawie tylko przy jedzeniu. Zato w święta udawało się im czasem wymknąć niepostrzeżenie na jakiś krótki spacer pieszy, lub też konny. Snuli wtedy projekty wspólnej przyszłości, spoglądając na się dowoli rozkochanemi oczyma.

Na pierwszego lipca kończyła się praktyka Karola i termin ten zbliżał się dziwnie szybko. Karol zdecydował, że oświadczy się państwu Zarzeckim oficjalnie dopiero po skończeniu praktyki i to po naradzie ze swymi rodzicami, którzy może będą chcieli razem z synem przyjechać. Maryla godziła się na wszystko ufając bezgranicznie ukochanemu.

Niemniej przeto ciężko im było myśleć, iż zostaną zmuszeni do rozłąki, choćby na krótki nawet czas. Wynajdywali więc przeróżne okazje, by jak najwięcej być razem. Najłatwiej udawały się im nibyto przypadkowe spotkania konne w lesie. Nie mogli jednak dłużej razem zostawać, by nie budzić podejrzeń.

Gdy już tylko kilka dni dzieliło ich od tak nieodwołalnego rozstania, wyznaczyli sobie spotkanie na swym pamiętnym smugu.

Karol stawił się pierwszy i, zsiadłszy z konia, czekał z niecierpliwością na ukochaną. Przeżywał przy sposobności wszystkie momenty ich przypadkowego spotkania, które zostało odtąd zapisane złotemi głoskami w historji ich życia.

Tak się zatopił w myślach, że nie spostrzegł wcale, jak Maryla nadjechała i stanęła za jego plecami.

— Dawno tak Karunio na mnie czeka? — zapytała z figlarnym uśmiechem.

— O, jest już moje Marylątko — zawołał, zrywając się szybko z trawy — przed chwilą tu przyjechałem.

Od pewnego czasu mówili sobie po imieniu, gdy byli sami. Wynajdywali przytem coraz dziwaczniejsze zdrobnienia dla swych imion.

Maryla chciała zaraz wyjawić przyczynę swego opóźnienia, gdyż została zatrzymana przez matkę, która domyślać się poczęła, co dzieje się między jedynaczką a Karolem i z tego powodu odbyła z nią dość poważną rozmowę. Widocznie jednak nie skończyło się to przykro dla Maryli, gdyż była w doskonałym humorze. Postanowiła jednak po namyśle powiedzieć wszystko Karolowi nieco później.

— Gdzież pojedziemy dzisiaj? — spytała tymczasem.

— Może tutaj zostaniemy na chwilę — proponował Karol.

— Kiedy tu nie jest teraz tak ładnie, jak wtedy. Zaprowadzę cię do ładniejszego miejsca.

Dosiadł konia i skierował się za amazonką.

Dróżka, w którą wjechali, była tak wąska, że mogli się posuwać po niej tylko gęsiego. Nisko zwisające gałęzie czepiały się ich z obu stron.

— Nic się nie przerażaj, że tu tak niewygodnie — tłomaczyła, podążając wciąż na przedzie Maryla — przekonasz się zaraz, jak tam dalej będzie miło.

Po kilku minutach takiego nachylania się pod gałęziami wydostali się rzeczywiście na dość szeroką drogę, wiodącą wśród starego, sosnowego lasu, podszytego leszczyną, grabiną i nieprzebytym gąszczem poplątanych z malinami jeżyn.

Pochylone już dobrze ku zachodniej stronie nieba, słońce rzucało swe ukośne promienie, wyzłacając pnie poważnych sosen, stojących majestatycznie wśród swych przyziemnych, drobnych towarzyszy.

Ze wszystkich stron rozlegał się koncert słowiczych treli przy akompaniamencie przeróżnych ptasich głosów, które dźwięczały subtelnie, jak struny gitary, potrącane wprawnemi palcami śpiewaka. Wysokie tony zięb mięszały się w zupełnej harmonji z gwizdem kosów i wilg, delikatne, ledwo dosłyszalne ćwierkania drobnych ptasząt z niskim, prawie tubalnym głosem kukułki.

Karol, widząc więcej miejsca, wypchnął konia wprzód i zrównał się z Marylą.

— Przyznaj, że tu ślicznie — mówiła, zwracając ku niemu rozmarzone oczy.

— Tak, rzeczywiście — zawołał, porwany taksamo dziewczyną, jak i otoczeniem, w którem się znaleźli — dziwię się, żem tu nigdy do tej pory nie trafił.

Narazie nie mówili więcej do siebie. Przepojone szczęściem serca umiały już porozumiewać się bez słów. Milcząc, zagłębiali się w ten uroczy leśny zakątek. Konie szły równo obok siebie, pomachując łbami dla odpędzenia natrętnych komarów. Czasem strzemię zadzwoniło jedno o drugie.

Karol spoglądał czułym wzrokiem na profil swej towarzyszki.

— Moją będzie na całe życie — myślał z radością. Choć nie mówił dotąd z jej rodzicami, nie przypuszczał, by mogli robić jakieś trudności. Swoich rodziców był pewien.

Rosło serce młodziana pod wrażeniem tych uczuć. Wziął Marylę za rękę i ucałował ją czule. Znów spojrzeli sobie w oczy, dopełniając dalszego ciągu milczącego porozumienia.

Wjechali tymczasem w rzadszą część lasu. Więcej tu było słońca i zieloności, wśród której niebieszczały całe klomby wdzięcznych kampanulli. Białe storczyki wynurzały się dyskretnie z pęków paproci.

Maryla spostrzegła zaraz swe ulubione kwiaty.

— Patrz, storczyki! — zawołała — strasznie je lubię.

Karolowi nie trzeba było powtarzać tego kilka razy. Zeskoczył z konia i, uwiązawszy go przy pierwszem drzewie, zabrał się do zbierania tych skromnych, a tak silnie pachnących kwiatów. Maryla uczyniła to samo i po chwili spotkali się z bukietami storczyków.

— Dużo już ich przekwitło — zauważyła — szkoda, że nie wybrałam się tu wcześniej.

Szli razem do koni, a, gdy już mieli siadać, Maryla zdecydowała się poruszyć sprawę swej dzisiejszej rozmowy z matką.

— Karuniu! Wiesz, miałam dziś poważną konferencję z mamą.

— Czy może o mnie? — spytał, zaskoczony tą nowiną.

— Tak, o nas obojgu — odparła powoli — dawno się już wszystkiego domyślała.

— Co ty mówisz? — zawołał, przejęty na dobre, że mu się plany mogą pokrzyżować — powiedziałaś prawdę?

— Powiedziałam, bo właściwie czego się wypierać.

— I cóż na to pani Zarzecka? — spytał, uspokojony jej zachowaniem.

— Mama ciebie bardzo lubi. Widzi, że jestem szczęśliwa, więc nie oponuje. Twierdzi tylko..

— Maryluś, moja najdroższa! — zawołał, nie dając jej mówić dalej i tuląc do siebie.

Po chwilowym uścisku pytał znów:

— No, co twierdzi, bo jestem bardzo ciekaw?

— Że jestem jeszcze zbyt młoda — odparła — i ma także pretensję, żeśmy przed nią wszystko ukrywali.

— To możemy zaraz jechać — wołał, uradowany pomyślną nowiną.

— Nie, teraz nie można, — zaprotestowała. — Z mamą musisz się sam rozmówić możliwie najprędzej. Będzie nawet teraz oczekiwała tego od ciebie, ale z papą poczekamy, aż mu to mama w odpowiedniej chwili oznajmi.

— No, dobrze. Będzie tak, jak chcesz. Mnie jest wszystko jedno, bylebyś była moją.

— A ty mój — dodała szeptem prawie, tuląc się do niego.

— Na wieki? — pytał całując jej oczy.

— Na wieki, — odparła.

I znów spotkały się ich usta, jak wtedy, gdy miłość sobie wyznali.

Tam przygrywał im koncert miłosnych nawoływań słonek i cietrzewi, a tu cała słowicza kapela.

Zrodzone wśród wiosennych pieśni uczucie wprowadzało zakochanych do radosnej wiosny ich wspólnego życia.

KONSTANTY KOMIEROWSKI.

OSTATNIA PIEŚŃ MIŁOSNA.

Było to dawno, wiosną roku 1903, gdy zajmowałem wówczas stanowisko leśniczego w lasach dóbr Maniewicze pułkownika Benois.

Lasy liczyły około 20.000 dziesięcin obszaru, tereny do polowania i zwierzostan były wspaniałe, a w szczególności mnóstwo było doskonałych tokowisk głuszcowych.

W pewien wymarzony, wiosenny przedświt znalazłem się w pobliskim od forwarku rewirze, w którym mieściło się tokowisko, a ponieważ pogoda była rzadkiej urody, wszystko przemawiało za tem, że głuszce powinny śpiewać.



Młody cietrzew. Fot. adm. M. Borowski.
(do artykułu: „Połączenie strzelby z aparatem fotograficznym").

Jednakże — nie odezwały się zupełnie.

Słońce już weszło — wiosna panowała w całej pełni — a na dobrem tokowisku zupełnie milczenie. Ze smutkiem i rozczarowaniem skierowałem się ku domowi wzdłuż rzeczki, która, choć niewielka, wiosną rozlewała swe wody szeroko — na kilkaset metrów.

Zatrzymawszy się, aby raz jeszcze posłuchać, czy nie odezwie się z oddali pieśń leśnego trubadura, nagle dosłyszałem głuszca, który śpiewał gdzieś w pobliżu, w olszynowym młodniku, kryjącym brzegi rzeczki.

Podchodzenie było prawie wykluczone, ponieważ rozlana w tem miejscu woda była zbyt głęboka, możnaby jedynie ryzykować dosłownie „skakanie" z kępy na kępę, na których rosła olszyna. Byłem jednak wówczas młody, zdrów i silny i ogarnęło mnie przemożne pragnienie, aby mimo wszystko dostać głuszca tego ranka koniecznie.

Nie namyślając się dłużej, rozpocząłem skoki z jednej kępy na drugą. Udawało mi się to szczęśliwie, aż wreszcie zdala ujrzałem śpiewaka. Pozostało mi jeszcze mniej więcej osiemdziesiąt kroków do przebycia. Skaczę więc dalej, ale, ponieważ odległość pomiędzy kępami zaczęła się zwiększać, w pewnej chwili skok mnie zawiódł i wpadłem jak długi w wodę. A woda dochodziła do pach.

Głuszec oczywiście zamilkł, na strzał było jeszcze zadaleko (około 70 kroków), a woda przejmowała ciało rzetelnem zimnem. W tak niezwykłych i przykrych warunkach wytrzymał mnie głuszec już dobre pięć minut. Dalej przedłużać lodowatej kąpieli nie byłem w stanie, wobec czego postanowiłem zaryzykować odległy strzał — nie czekając na pieśń.

Strzeliłem... Głuszec zrywa się i — odlatuje. Przeleciał ze sto pięćdziesiąt kroków i siadł na samym czubku samotnie stojącego świerka.

Wgramoliłem się z trudem na najbliższą kępę, obciekając wodą i trzęsąc się cały, lecz głuszca nie spuszczam z oczu i nieustannie obserwuję, chcąc się dowiedzieć, co dalej zamierza robić.

I oto co się zdarzyło: głuszec wreszcie zaśpiewał na nowem miejscu, prześpiewał pierwszą część pieśni i nagle, w środku drugiej rozpostarł skrzydła i spadł martwy na ziemię.

Gdy do niego podszedłem, ptak leżał pod świerkiem z rozpostartemi skrzydłami, z dziobem, wbitym w mech.

Tak oto zakończył swą ostatnią pieśń miłosną leśnego trubadura.

WŁODZIEMIERZ KAMPIONI.

POŁĄCZENIE STRZELBY Z APARATEM FOTOGRAFICZNYM.

Sprawa polowania z kamerą fotograficzną, by zamiast zabicia zwierza uchwycić go na kliszę w naturalnem jego otoczeniu, nieraz była poruszana na łamach pism łowieckich. Rzecz to nienowa i już sporo lat temu widziałem wcale dobre zdjęcia zwierząt drapieżnych, zrobione przy sztucznem świetle, kiedy zwierzęta te przychodziły do położonej dla nich, jako przynęty, padliny. Spotykałem też na łamach ilustrowanych pism angielskich nadzwyczaj efektowne zdjęcia załamujących się w ogniu grausów, kaczek i bażantów. Z chwilą zaś, kiedy kinematografja osiągnęła swój obecny stopień perfekcji, zdjęcia na taśmie filmowej z dziedziny łowieckiej zaczęły dawać wprost cudowne rezultaty.

Takie filmy, jak „Congorilla", „Dajcie nam żyć" i inne, pozostawiają u widza niezatarte wrażenie. Widząc na ekranie walkę tygrysa z boa, lub nawet z krokodylem, człowiek zachodzi w głowę, jak mógł operator uchwycić na taśmę podobne sceny. Wyszedłem z pewnym niesmakiem z dwóch tylko filmów, z których jeden niemiecki, gdzie bezbronny murzyn został rozszarpany przez lwa, podczas kiedy poczciwi kulturtregierzy spokojnie nakręcali tę scenę, drugi zaś, niestety polski, przedstawiający wykopywanie i obrzydliwe duszenie borsuka.

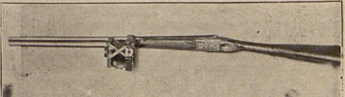
Przyznam się otwarcie, że mając do wyboru strzelbę, czy kino-aparat, oddałbym bodaj pierwszeństwo temu ostatniemu. Przeżycia strzału są bardzo krótkie, późniejsze zaś opowiadania o tych przeżyciach w gronie innych wyznawców św. Huberta, jak zwykle kwieciście upiększone, są każdemu znane i należycie nazwane. Mając jednak zdjęcie filmowe z tego lub innego wyczynu łowieckiego, dałoby się nietylko doznane przeżycia odświeżać, lecz może i poprawić nieco zaszarganą opinję o prawdomówności myśliwskiej. Niestety kino-aparat jako taki jest drogi, a jego eksploatacja tembardziej, co czyni go zupełnie niedostępnym dla przeciętnego amatora, dla którego, mówiąc o zdjęciach łowieckich, rozumieć należy tylko zdjęcia, robione zwykłą kamerą fotograficzną.

Ze strzelbą zżyłem się od dzieciństwa. Mając lat dziewięć zabiłem mego pierwszego zająca z pistonowej jednorurki. Była mi też strzelba wiernym towarzyszem przez całe życie, to ratując od ciężkiej nudy, kiedy, stojąc miesiącami na stacji w jednej z licznych zatok wybrzeży Korei, włóczyłem się ze swą nierozłączną dziesiątką Greenera, zamiast, jak moi koledzy, zalewać nudę alkoholem; to wracając spokój i równowagę, naruszane ciągłem ujadaniem się z niemcami o prawa Polski w Gdańsku. Dotychczas błogo-

sławię rozlewy Nogatu i knieje Chylonji lub Dębowej Góry, gdzie dzień spędzony ze strzelbą w ręku był balsamem na stargane nerwy.

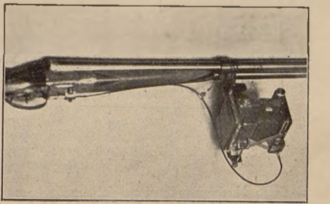
Niewiele później zawarłem też przyjaźń i z aparatem fotograficznym. Było to w czasach, kiedy jeszcze suche klisze nie były wynalezione. Pierwszy aparat, z którym zacząłem operować, był w pojęciu łowieckiem rodzajem skałkówki, jeżeli nawet nie lontówki fotograficznej. Był to prymitywny aparat Dagera, przy którym, zamiast obecnie używanych suchych klisz, trzeba było zalewać wstawione do kamery czyste szkło spreparowaną przez siebie, światłoczułą emulsją. Jakie były rezultaty, mniejsza o to, dość, iż aparat ten zaszczepił we mnie amatorstwo do fotografji i od tego czasu, podczas długoletniej włóczęgi po świecie, miałem stale przy sobie aparat fotograficzny. Dużo też jemu zawdzięczam. Nieraz podczas długich miesięcy oblężenia Port-Artura, kiedy czy to w porcie, czy na morzu, było się niemal codzień pod ogniem dział nieprzyjaciela, zamiast się denerwować i czekać chwili, kiedy ci spadnie ciężki prezent na głowę, jako fanatyk fotografji, koncentrowałem swą myśl na tem, jakby uwiecznić na kliszy efektowne wybuchy ciężkich pocisków, lub też uszkodzenia przez nie poczynione. Muszę więc przyznać, iż dzięki fotografji łatwiej może, niż kto inny, przeżyłem długie i niewesołe dni oblężenia.

Po tem, co powiedziałem, chyba każdy zrozumie, jak trudnoby mi było sprzeniewierzyć się którejkolwiek z tych wiernych przyjaciółek, toteż, nie oddając pierwszeństwa ani strzelbie, ani kamerze, zabieram je obie na wszystkie swe wyprawy łowieckie. Coprawda strzelba, jako zawsze gotowa do czynu, zazwyczaj dystansuje w robocie kamerę, która dla jej uruchomienia wymaga szeregu manipulacyj przygotowawczych. Powodowało to u mnie nieraz rozterkę wewnętrzną; nieraz po daniu strzału żałowałem, że nie użyłem kamery i vice versa. Doszedłem też do przekonania, że jedynem wyjściem z sytuacji byłoby skonstruowanie takiego przyrządu, który za pociągnięciem cyngla uruchamiałby zarówno strzelbę, jak i kamerę fotograficzną. Pod względem mechanicznym skonstruowanie takiego przyrządu nie przedstawia większej trudności, cała zaś trudność polega na tem, iż, nie mając możności zbudowania specjalnie zastosowanej do tego celu kamery, musiałem się zadowolnić jednym z typów kamer fotograficznych, już istniejących.



Strzelba, z którą poluję i do której postanowiłem zastosować aparat fotograficzny, jest to strzelba kal. 24 do nabojów long, systemu Enson-Deeley, zrobiona na obstalunek według moich danych przez firmę Armes et Munitions w Liege.

Pozostawało więc dobrać do posiadanej już przezemnie strzelby najodpowiedniejszy z istniejących na rynku małych aparatów fotograficznych. Wymagania, którym taki aparat musiałby odpowiadać, są mniej więcej następujące: 1) być małym i lekkim, by nie obciążać zbytnio strzelby i nie naruszać jej równowagi; 2) posiadać objektyw o znacznej sile światła, by można było robić prędkie, migawkowe zdjęcia przy niekorzystnych nawet warunkach w kniei; 3) prędkość migawki do 1/500 sek.; 4) nastawiony na nieskończoność, aparat ma ostro rysować przedmioty jak najbliższe od objektywu, a w każdym razie wszystko poza 10 metrami. Punkt ten jest specjalnie ważny, jakoże aparat, działający jednocześnie ze strzelbą, musiałby pracować przy stałem nastawieniu na nieskończoność, a równocześnie zdjęcie będzie tem większe, a więc i wyraźniejsze, im z bliższej odległości zrobione. Tylko dlatego że nastawienie na nieskończoność znajdowało się poza 20 metrami od objektywu, musiałem pominąć dwie może najprecyzyjniejsze z istniejących małych kamer, a mianowicie „Leica" i „Contax" Zeissa.



Ostatecznie wybrałem kamerę „Makina Plaubel" (Wauckosin C-o Frankfurt n/M.) 4,5×6 cm. Objektyw Anticomar Plaubela F : 2,8/75 mm. Migawka Compur od 1 do 1/250 sekundy.

Przyrząd, który zaprojektowałem, by przymocować aparat do strzelby, oraz by związać funkcjonowanie aparatu z cynglem, składa się z dwóch części, z których każda wykonywa jedną z wyżej wspomnianych funkcyj.

Część przyrządu, która powoduje synchroniczne działanie strzelby i aparatu, przedstawia rodzaj zameczka z kurkiem, zmontowanego na miedzianej płycie grubości 2 mm. (A) rys. 1 i 2. Płyta (A) ma formę zaznaczoną na rysunkach (1—2) grubą linją, jest dobrze dopasowana do dolnej części baskili, a brzegi jej są zachylone i obejmują dolną jej część. W strzelbach typu Enson-Deeley w dolnej części baskili jest zwykle śruba, zapomocą której przytrzymuje się platka, zakrywająca mechanizm, podnoszący kurki. Otwór tej śruby wykorzystałem też dla przymocowania płyty (A) do baskili. Dla przymocowania płyty (A) tylny jej koniec spiłowany na klin podsuwa się pod przedni koniec antabki (h), w przedni zaś wkręca się śruba (a), wykorzystując, jak to wyżej wspomniałem, istniejący już otwór.

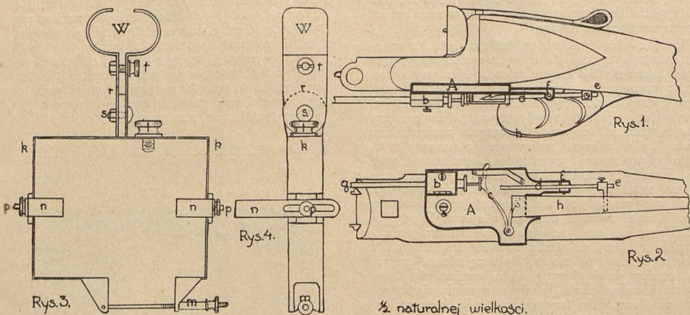
Zameczek, zmontowany na płycie (A), składa się z następujących części: (rys. 1 i 2).

1) Sprężyna, a zarazem i kurek (c), które służą dla naciskania wężyka aparatu fotograficznego, zapomocą którego uruchamia się migawka. Naciągając wtył sprężynę (a), zaskakuje ona pod wycięcie przedniej części dźwigni (d) i pozostaje w stanie napiętym.

2) Dźwignia (d) obraca się koło osi (f) i, jak już wspomniałem, posiada w przedniej swej części wycięcie, przytrzymujące napiętą sprężynę, w tylnej zaś ruchomą mufkę (e) z poprzecznym palcem, wchodzącym w wycięcie nad lewym cynglem. Mufkę (e) zrobiłem ruchomą, by przez posuwanie palca bliżej lub dalej do cyngla, mieć w pewnej mierze możność regulowania synchronizacji wystrzału i migawki. Po ustawieniu mufki (e) na odpowiedniem miejscu, umocowuje się ją na stałe zapomocą śrubki, pokazanej na rysunku.

3) Odmykający się na zawiasach zacisk (b) zapomocą którego i odpowiedniej śrubki umocowuje się główka wężyka (g) uruchamiającego migawkę aparatu fotograficznego.

Działanie przyrządu nie potrzebuje chyba dalszego



½ naturalnej wielkości.

objaśnienia. Naciskając lewy cyngiel strzelby przy pośrednictwie dźwiga (d), zwalniamy naciągniętą sprężynę (c), która siłą swą naciska na główkę wężyka i uruchamia migawkę aparatu fotograficznego.

Druga część przyrządu, która służy jedynie do połączenia ze strzelbą kamery fotograficznej (rys. 3 i 4) składa się też z dwóch części.

1) Stalowa rama (k), zrobiona według formy tylnej części kamery fotograficznej, która ją obejmuje i mocno zaciska się na niej zapomocą mutry (m). Żeby jeszcze wzmocnić połączenie kamery z ramą, została zrobiona dodatkowa śruba (l), która, przechodząc przez ramkę, wkręca się do otworu dla połączenia ze statywem, który to otwór posiada każda kamera fotograficzna. Po obu bokach ramka ma dwie stalowe, ruchome łapki (n), które zamocowuje się w żądanym punkcie zapomocą zacisków (p). Łapki te podpierają przednią deskę kamery i służą wyłącznie, by ulżyć rozpornym nożycom kamery przy wstrząsie od wystrzału.

2) Chwyt (W) zrobiony ze sprężynowej stali. Górną swoją częścią obejmuje on lufy strzelby, przyczem zaciska się mocno śruba (t), dolną zaś jest połączony z ramką (K), w której kamera fotograficzna jest umocowana. Połączenie to zrobione jest ruchomo, by dać możność uzgodnienia linij, połączenie zaciska się na stałe zapomocą mutry (s) i stawia się znak, by w razie potrzeby postawić aparat w uzgodnionem już poprzednio położeniu.

Na zakończenie zaznaczę tylko, że zarówno ramka (k) jak łapki (n) i chwyt (W), w miejscach, gdzie dotykają kamery, lub też lufy strzelby, są oszyte cienką skórą.

Mówiąc o praktycznych rezultatach, które dało takie połączenie w jedno strzelby i aparatu fotograficznego, stwierdzam, iż pod względem mechanicznym przyrząd działał bez zarzutu. Byłem też bardzo zadowolony, że przy projektowaniu przyrządu przyszła mi myśl zrobić ruchomą mufkę (e) rys. 1 i 2. Okazało się bowiem przy próbie, że, o ile działanie migawki kamery i strzał są ściśle uzgodnione co do czasu, zdjęcie dawało tylko ogólny, mglisty i zadymiony kontur obrazu. Przyczyny, powodujące tak niekorzystny rezultat, były: wstrząs kamery, oraz dym, jako skutki wystrzału. Tak zwany proch bezdymny, jest może nim dla naszego oka, lecz nie jest nim bynajmniej dla światłoczułej kliszy fotograficznej. Kiedy jednak przesunąłem mufkę (e) jak najbliżej do przodu i przez to uregulowałem przyrząd tak, by za naciśnięciem cyngla migawka kamery podziałała o ułamek sekundy przed strzałem, zdjęcia okazały się niczem nie gorsze, niż robione tym aparatem z ręki.

Co zaś do strony optycznej, to przyłączenie kamery do strzelby nic w niej nie zmieniło i wszystkie ujemne strony zwykłej kamery pozostały takie same, jak i były. Zdjęcia zwierząt, a tembardziej ptaków, zrobione nawet ze stosunkowo niewielkiej odległości 15—20 mtr. dają na negatywie obraz tak mały, że chociaż potem znacznie powiększony, nie daje on na odbitce należytego efektu. Dla przykładu przypomnę umieszczoną w „Trąbkach“ *) przed paru laty moją fotografję młodego cietrzewia. Cietrzewia tego udało mi się podejść i sfotografować z odległości 3—4 metrów, a w rezultacie, pomimo iż obraz został powiększony z 4,5 × 6 na 13 × 18 cm. t. j. linearnie trzykrotnie, a powierzchniościowo dziewięciokrotnie, sam cietrzew na odbitce wyszedł mało większy od zwykłej muchy. Przyłączenie kamery do strzelby dało może niewielki plus tylko pod względem celowania, bo łatwiej uchwycić prędko poruszające się zwierzę lub ptaka na muszkę strzelby, niż na celownik kamery fotograficznej.

W zeszłym roku czytałem w „Trąbkach“ bardzo sympatyczny naogół artykuł jednego z młodych adeptów polowania z kamerą fotograficzną, pełny jednak nierzeczowych fantazyj na temat, jak to miło podkraść się do sarenki, uwiecznić ją na kliszy, a potem cieszyć się z obrazka tego tak sympatycznego i zgrabnego stworzenia. Ongiś, wiele lat temu i ja próbowałem podkradać się z kamerą do sarenek, więc mogę coś nie coś o tem powiedzieć. Otóż najbliższa odległość, na którą po wielu próbach udało mi się podkraść do sarenki wynosiła koło 50 mtr. Było to w Gross Eckau pod Rygą, lat temu 30. Mam jeszcze negatyw zrobionego wtedy zdjęcia i z miłą chęcią gotów jestem służyć młodemu koledze fotografowi odbitką, pod warunkiem jednak, że uwierzy mi na słowo, iż na odbitce została uwieczniona sarenka, a nie komar. Na szczęście autor wspomnianego artykułu nie posunął się tak daleko, by wspominać o podkradaniu się do wilka, rysia, lub lisa — i słusznie.

Twierdzę stanowczo, że dla osiągnięcia pewnego rezultatu, polując z kamerą fotograficzną, należy stosować te same metody, któremi posługują się myśliwi, polujący ze strzelbą i dążący ku temu, by dostać zwierza jak najbliżej na strzał, a więc nie podkradanie się, lecz naganką, podjazd, zasadzkę w budce i psy.

Taka wspólność warunków i metod polowania, zarówno ze strzelbą, jak z aparatem fotograficznym, raz jeszcze przemawia za sprzężeniem strzelby z kamerą.

*) „Trąbki myśliwskie“ — dodatek łowiecki do „Słowa“ wileńskiego, organ. Tow. Łow. Ziem Wsch. *(Przyp. red.)*.

A chociaż rezultaty, które osiągnąłem z wyżej opisanym przezemnie przyrządem, niezupełnie są zadowalające, fakt ten nie napawa mnie bynajmniej pesymizmem.

Każdy z nas widział kino-zdjęcia, przedstawiające stada antylop, zebr, gnu i innych zwierząt, spokojnie żerujących w tym samym czasie, kiedy są filmowane. Oznacza to, że operator jest tak daleko, iż zwierzęta te nie czują jego obecności, on zaś filmuje, posługując się teleskopem-objektywem (teleobjektyw). A więc jest przyrząd optyczny, który może opisanym wyżej usterkom zaradzić! Projektując swój przyrząd, nie zapomniałem o istnieniu teleobjektywu, dlategoteż poniekąd wybrałem kamerę „Makina Plaubela", do której firma ta wyrabia też rodzaj teleobjektywu pod nazwą „Tele-Makinar" F : 6,3 o dwukrotnem powiększeniu. Przyczyną, dla której tego objektywu nie zastosowałem, była jego waga, przewyższająca wagę całego aparatu, konstrukcja zaś kamery nie była w żadnej mierze odpowiednia, by z takim ciężarem na przedniej swej desce mogła wytrzymać wstrząsy, spowodowane strzałami.

Jestem głęboko przekonany, że, o ileby sprawą tą została zainteresowana któraś z poważniejszych firm, wyrabiających kamery fotograficzne, mogłaby ona łatwo zbudować dla celów łowieckich idealnie zastosowaną ad hoc telekamerę. Rzecz naturalna, taka kamera musiałaby być solidnie zmontowana na lufach, w rodzaju, jak montują się celowniki teleskopowe.

Zważywszy, że filmy używane do małych kamer są bardzo tanie, myśliwy, bez większych wydatków, mógłby mieć zdjęcie każdego swego strzału, i to nietylko celnego, lecz i pudła, albowiem objektyw obejmuje znacznie większe pole od pokrycia śrutowego.

Należy też zdać sobie sprawę, że, mając kamerę sprzężoną ze strzelbą, można fotografować, nie strzelając i vice versa. Migawka uruchamia się przez poruszenie cyngla, ruszać zaś cynglem można, nie mając ani ładunku w lufie, ani nawet naciągniętych kurków. Polowanie z taką cichą strzelbą w czasie ochronnym, poza samym urokiem sportu, byłoby bardzo pożytecznym treningiem strzeleckim i spowodowałoby może uszczuplenie grona zawodowych pudlarzy.

Chcę wierzyć, że zamiast tak mało sympatycznego teleskopu na strzelbie, w niedługim czasie zobaczymy w rękach prawdziwych myśliwych mniej więcej tegoż wymiaru telekamerę pod strzelbą.

M. BOROWSKI

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 9 MARCA 1934 ROKU.

Obecni pp.: Przewodniczący — W. Szperling, Członkowie — red. W. Garczyński, B. Gędziorowski, inż. J. Grabowski, inż. H. Knothe, J. Skrzypek, inż. K. Tołłoczko i mec. A. Tallen-Wilczewski; protokół prowadził J. Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 5 marca r. b.
2. Sprawy Delegatów Związku.
3. Sprawy Stowarzyszeń Związkowych.
4. Zakwalifikowanie nowych Stowarzyszeń.
5. Sprawy bieżące.
6. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia.
7. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 5 marca r. b. zatwierdzono bez zmian.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wydział Wykonawczy mianował Delegatem Związku na powiat Mielec województwa krakowskiego p. Antoniego Szaszkiewicza (Rzemień).

Na wniosek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Wydział Wykonawczy mianował Delegatami Związku:

na powiat Lida województwa nowogródzkiego:
p. Józefa Pawłowskiego (Bieniakonie, Stoki),
na powiat Brasław województwa wileńskiego:
p. Wiesława Świałopełk-Mirskiego (Miory, Kamieńpol),
na powiat Święciany województwa wileńskiego:
p. Tomasza Zana (Dukszty k./Turmont),
na powiat Wilejka województwa wileńskiego:
p. Aleksandra Radwana-Okuszkę (Budsław, Iłów).

Zgodnie z opinją Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Wydział Wykonawczy zatwierdził następujące kandydatury na Delegatów Związku:

na powiat Bielsk Podlaski województwa białostockiego:
p. Tadeusza Kobylińskiego (Siemiatycze, Altein),
na powiat Ostrów Maz., województwa białostockiego:
p. dr. Eugenjusza Rytla (Ostrów Maz.),
na powiat Nowogródek województwa nowogródzkiego:
p. Juljana Holocińskiego (Cyryn, Serwecz),
na powiat Stołpce województwa nowogródzkiego:
p. Bazylego ks. Mirskiego (Mir).

Od kandydatów tych postanowiono zażądać przystąpienia do Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

Przyjęto do wiadomości treść pisma p. Aleksandra Knothego, który proponowanego mu mandatu Delegata Związku na powiat Częstochowa (woj. kieleckie) przyjąć nie może.

Przyjęto do wiadomości zawiadomienie o Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, które odbędzie się w Wilnie, dnia 14 marca r. b.

Przyjęto do wiadomości treść nadesłanego Związkowi w odpisie pisma Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich do Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego. Pismo to dotyczyło spraw organizacyjnych przyszłego Oddziału Związku na Wołyniu.

Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi Związku wniosek o zaliczenie w poczet Stowarzyszeń Związkowych:

Kółka Racjonalnego Łowiectwa „Knieja Podlaska" w Warszawie (18 członków),
Podoficerskiego Klubu Łowieckiego Garnizonu Grodno w Grodnie (20 członków)
i Gościeradowskiego Kółka Myśliwskiego w Warszawie (15 członków).

Przyjęto do wiadomości treść nadesłanego Związkowi w odpisie okólnika Wileńskiego Urzędu Wojewódzkiego do wszystkich starostów województwa wileńskiego w sprawie sprzedaży w starostwach tabel czasów ochronnych, wydanych przez Związek. Wydział Wykonawczy postanowił złożyć Urzędowi Wojewódzkiemu w Wilnie podziękowanie za rozesłanie tak przychylnego dla Związku okólnika.

Wielkopolski Związek Myśliwych nadesłał Wydziałowi Wykonawczemu, z prośbą o opinję, odpis pisma Wągrowieckiego Koła Myśliwych w sprawie odstrzału sarn w lasach państwowych.

Na wniosek p. Przewodniczącego Szperlinga, postanowiono zażądać od Wielkopolskiego Związku Myśliwych przedstawienia danych co do obszaru i jakości dzierżawionych przez Wągrowieckie Koło Myśliwych terenów (stosunku obszaru pól do obszaru lasów), co do ilości sarn na tych terenach i stosunku ilościowego rogaczy do kóz. Postanowiono nadto zapytać Wielkopolski Związek Myśliwych, ile w ciągu ostatniego roku wydano zezwoleń właścicielom i dzierżawcom łowisk prywatnych.

Rozpatrzenie sprawy odłożono do czasu otrzymania powyższych danych.

Komitet Organizacyjny III Pokazu trofeów łowieckich przedstawił Wydziałowi Wykonawczemu wniosek o wyłonienie Komisji, któraby opracowała nowe normy oceny trofeów.

P. Przewodniczący Szperling zaproponował zwrócenie się do Oddziałów Wojewódzkich o nadesłanie uwag co do obecnych norm oceny trofeów i wniosków o ewentualne zmiany.

Pp. inż. Knothe i Gędziorowski podtrzymują wniosek o powołanie specjalnej Komisji, uważając, że Oddziały Wojewódzkie dostarczyć mogą tylko materjału w tej sprawie, a ustaleniem nowych norm zająć się powinna centrala.

P. red. Garczyński proponuje porozumienie w tej sprawie z prof. Dykiem (Czechosłowacja), który w dziedzinie tej posiada wybitne doświadczenie.

Wydział Wykonawczy postanowił wyłonić specjalną Komisję do opracowania norm oceny trofeów łowieckich i do Komisji tej zaprosić pp.: inż. Knothego i prof. Domaniewskiego z prawem kooptacji.

Przyjęto do wiadomości treść pisma p. Adama hr. Starzeńskiego, przedstawiciela łowiectwa w Państwowej Radzie Ochrony Przyrody, w sprawie projektu utworzenia rezerwatu w Hryniawie.

Państwowa Rada Ochrony Przyrody (Kraków) wydać postanowiła monografję łosia, opracowną przez p. Włodzimierza Korsaka. Egzemplarze monografji tej Państwowa Rada rozdać pragnie uczestnikom zjazdu Międzynarodowej Rady Łowieckiej, jako dar pamiątkowy. Za pośrednictwem p. Adama hr. Starzeńskiego Państwowa Rada Ochrony Przyrody zwróciła się do Związku z propozycją pokrycia przez Związek kosztów wydania barwnej wkładki, przedstawiającej łosia, idącego przez bagna, według rysunku p. Korsaka.

Wydział Wykonawczy propozycję tę postanowił przyjąć i przeznaczył na ten cel kwotę zł. 300.—.

Postanowiono złożyć w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych nowy memorjał w sprawie obniżenia norm podatku komunalnego od wykonywania prawa polowania. Opracowanie memorjału powierzono pp. Garczyńskiemu i Skrzypkowi z prośbą o jednoczesne przygotowanie motywów dla referenta Ministerstwa.

P. Przewodniczący Szperling przedstawił Wydziałowi Wykonawczemu sprawozdanie finansowe Związku i wydawnictwa „Łowiec Polski" za rok 1933.

Bilans i rachunek strat i zysków za rok 1933 oraz preliminarz budżetowy na rok 1934 przyjęto bez dyskusji i postanowiono przedstawić do zatwierdzenia Zarządowi Związku.

Wydział Wykonawczy nadał:

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Ludwikowi Szeszce, strażnikowi łowieckiemu maj. Piątkowszczyzna (pow. Lida, woj. nowogródzkie) — za gorliwą służbę i skuteczną walkę z kłusownictwem (wniosek p. J. Laskowicza, Delegata w powiecie Lida).

Janowi Jakóbczykowi, strażnikowi łowieckiemu maj. Wólka Leszczańska (pow. Chełm, woj. lubelskie) — za gorliwą i skuteczną walkę z kłusownictwem (wniosek zarządu maj. Żmudź, Wólka, Leszczany).

Na wniosek Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego Wydział Wykonawczy nadał:

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Bolesławowi Gancarczykowi, posterunkowemu policji państwowej w Pszczynie — za energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem. Post. Gancarczyk w czasie walki z kłusownikami został ciężko ranny 6-cioma kulami rewolwerowemi.

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Ludwikowi Stecowi, leśniczemu w Wiśle,

Piotrowi Pilarkowi, kierownikowi posterunku straży granicznej w Koszęcinie,

Wojciechowi Toborowi, strażnikowi granicznemu w Koszęcinie,

Mikołajowi Drapale, strażnikowi granicznemu w Wilczy Dolnej,

Stanisławowi Wyleżuchowi, starszemu przodownikowi pol. państw. w Pszczynie,

Józefowi Branny'emu, przodown. pol. państw. w Pszczynie,

Janowi Kamieńskiemu, st. posterunkowemu pol. państwowej w Pszczynie,

Janowi Nowarze, st. posterunk. pol. państw. w Pszczynie,

Alojzemu Jończykowi, posterunk. pol. państw. w Pszczynie,

Janowi Ziętkowi, st. posterunk. pol. państw. w Rybniku,

Alojzemu Błaszczykowi, st. posterunk. pol. państw. w Lublińcu,

Franciszkowi Gawronowi, st. posterunkowemu pol. państw. w Lublińcu,

Walentemu Jurzycy, st. posterunkowemu pol. państwowej w Lublińcu,

Wiktorowi Buchalikowi, st. posterunkowemu pol. państwowej w Świętochłowicach,

Józefowi Korbelowi, posterunkowemu pol. państw. w Świętochłowicach, —

wszystkim za energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem.

Na wniosek Oddziału Krakowskiego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wydział Wykonawczy nadał:

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Henrykowi Kemmerowi, nadleśniczemu lasów maj. Dębica, pow. Ropczyce — za wybitną działalność hodowlaną oraz za wydanie pracy p. t. „Hodowla bażantów",

Janowi Kolarczykowi, b. leśniczemu dóbr Jodłownik (pow. Limanowa) — za długoletnią działalność hodowlaną i skuteczną walkę z kłusownictwem,

Pawłowi Mikesowi, zarządcy lasów w Nawojowej (pow. Nowy Sącz) — za energiczne i skuteczne zwalczanie kłusownictwa i wnykarstwa.

inż. Marjanowi Bosakowskiemu, nadleśniczemu w Gumniskach (pow. Tarnów) — za działalność hodowlaną.

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

N. Zemankowi, przodownikowi pol. państw., komendantowi posterunku w Łabowej (pow. Nowy Sącz),

Adamowi Szaremu, st. posterunkowemu pol. państw. w Lipinkach (pow. Gorlice),

Szymonowi Głąbowi, st. posterunkowemu pol. państw. w Rzędowie (pow. Tarnów),

Janowi Wesołowskiemu, posterunkowemu pol. państw. w Tarnowie (pow. Tarnów), —

wszystkim za energiczną i skuteczną walkę z przestępstwami łowieckiemi;

Maciejowi Wierońskiemu, leśniczemu w Bulowicach (pow. Biała),

Maciejowi Niedzieli, gajowemu w Bulowicach (pow. Biała),

Józefowi Handy'emu, starszemu gajowemu w Kętach (pow. Biała),

Eugenjuszowi Zillerowi, leśniczemu w Nawojowej (pow. Nowy Sącz),

Kazimierzowi Zającowi, leśniczemu w Łabowej (pow. Nowy Sącz),

N. Marnuszowskiemu, gajowemu w Rytrze (pow. Nowy Sącz),

Antoniemu Zarotyńskiemu, gajowemu w Czarnej Wodzie (pow. Nowy Sącz),

N. Mastalskiemu, strażnikowi łowieckiemu w Woli Brzezińskiej (pow. Nowy Sącz),

Mikołajowi Topuziakowi, strażnikowi łowieckiemu w Rytrze (pow. Nowy Sącz),

Janowi Sołkowi, leśniczemu w Dębicy (pow. Ropczyce),

Franciszkowi Karasiowi, starszemu gajowemu w Dębicy (pow. Ropczyce),

Ignacemu Szczygłowi, bażantarnikowi w Dębicy (pow. Ropczyce),

Janowi Porębskiemu, leśnicz. w Trzemesznej (pow. Tarnów),

Piotrowi Gordziejewskiemu, nadzorcy łowieckiemu w Krzyżu (pow. Tarnów),

Józefowi Kopie, strażnikowi łowieckiemu w Wierzchosławicach (pow. Tarnów),

Antoniemu Nowakowi, st. strażnikowi łowieckiemu w Osieku (pow. Biała),

Stefanowi Kobylczykowi, gajowemu w Bobrku (pow. Chrzanów),

Józefowi Woydylle, gajowemu w Bobrku (pow. Chrzanów),

Józefowi Basterowi, gajowemu w Kopcach (pow. Chrzanów),

Karolowi Gregorczykowi, gajowemu w Białce (pow. Chrzanów),

Janowi Kołodziejczykowi, gajowemu w Kopcach (pow. Chrzanów),

Stanisławowi Przybyłkowi, strażnikowi łowieckiemu w Porębie Wielkiej (pow. Limanowa),

Franciszkowi Knurowskiemu, strażnikowi leśnemu miasta Nowy Targ i strażnikowi łowieckiemu Podhalańskiego Klubu Myśliwskiego,

Franciszkowi Drwalowi, gajowemu i strażnikowi łowieckiemu w Leńczach (pow. Wadowice), —

wszystkim za gorliwą służbę i energiczną walkę z przestępstwami łowieckiemi.

Na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Edmundowi Bartzowi, radcy wojewódzkiemu w Poznaniu — za szczególną pieczę nad sprawami łowieckiemi,

inż. Stanisławowi Woszczyńskiemu, Delegatowi Związku w powiecie Chodzież,

Józefowi Lossowowi, Delegatowi Związku w powiecie Kościan,

Stanisławowi Kurnatowskiemu, Delegatowi Związku w powiecie Szamotuły, —

wszystkim trzem za wybitną działalność hodowlaną i pracę na stanowiskach Delegatów Związku.

Adamowi Narajewskiemu, staroście powiatowemu w Szamotułach, za wybitną działalność hodowlaną,

Tadeuszowi Śliwińskiemu, członkowi Wlkp. Zw. Myśliwych, za wybitną działalność hodowlaną.

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

inż. Feliksowi Osińskiemu, Delegatowi Związku w powiecie Kępno,

Janowi Lipskiemu, Delegatowi Związku w powiecie Ostrów,

Mieczysławowi Chłapowskiemu, Delegatowi Związku w powiecie Wyrzysk, —

wszystkim trzem za wybitną działalność hodowlaną i pracę na stanowiskach Delegatów Związku,

Stanisławowi Czarneckiemu, referentowi w starostwie poznańskiem, za szczególną pieczę nad sprawami łowieckiemi.

Antoniemu Dębiakowi, referentowi w starostwie poznańskiem, za szczególną pieczę nad sprawami łowieckiemi

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Józefowi Śniadkowi, przodownikowi pol. państw., komendantowi posterunku w Owińskach,

Władysławowi Linkowskiemu, przodownikowi pol. państw., komendantowi posterunku w Suchymlesie,

Franciszkowi Głowackiemu, st. posterunkowemu pol. państw., komendantowi posterunku w Fabjanowie,

Józefowi Szałkowskiemu, posterunkowemu policji państwowej w Chojnie,

Franciszkowi Jankowskiemu, posterunkowemu pol. państw w Chojnie,

Józefowi Smelkowskiemu, posterunkowemu pol. państwowej w Chojnie, —

wszystkim za energiczną walkę z kłusownictwem.

Z ODDZIAŁÓW WOJEWÓDZKICH.

Protokół walnego zwyczajnego zebrania Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich w dn. 14 marca r. b.

Obecni: — członkowie pp. M. Albrecht, adm. M. Borowski, J. Borkowski, K. Erdman, P. Grodzki, kpt. Henneberg, prof. M. Hłasko, K. Jeleński, W. Korsak, W. Kępiński, S. Kielczewski, W. Łuczyński, M. Łukasiewicz, Cz. Moritz (sympatyk), J. Narkowicz, pułk. Oleszkiewicz, L. Pac-Pomarnacki, M. Pawlikowski, pułk. M. Pakosz, L. Polak, M. Riza-Ternawiot, prezes B. Świętorzecki, pułk. Sielicki, L. Sumorok, M. Tukołło, Wasilewski, B. Wańkowicz, J. Węcławowiczowa, A. Węcławowicz, K. Wagner, F. Zawadzki i pułk. Zajączkowski; goście: pułk. S. Błocki i Z. Święcicki. Ogółem 32 członków T-wa i 2 gości.

Zebranie zagaił prez. B. Świętorzecki, witając przybyłych gości. Następnie, na wniosek prezesa — uczczono przez powstanie pamięć b. skarbnika i członka założyciela T-wa ś. p. Wacława Szaniawskiego, poczem prezes odczytał porządek dzienny, który przyjęto, i zaproponował obranie na przewodniczącego p. adm. M. Borowskiego. Propozycję przyjęto przez aklamację i przystąpiono do wysłuchania sprawozdania Sekretarjatu.

P. Pawlikowski, jako sekretarz T-wa, poinformował przedewszystkiem zebranych o wykonaniu uchwał poprzedniego Walnego Zebrania. Uchwała, dotycząca bonifikaty zaległości, dała wynik mierny. Z 118 zalegających ze składkami skorzystało 23 członków, t. j. około 18%. Ogólna ilość członków wynosi 160 osób. Uchwała, obniżająca składkę roczną (zł. 10 zamiast dotychcz. 17) dała w wyniku zapisanie się 15 nowych członków. Uchwałę co do pobudzenia czynności delegatów łowieckich wykonano przez: — wydanie 2 odezw, oraz specjalnego „delegackiego" numeru dodatku łow., stałe przypominanie delegatom ich obowiązków przez radjo. Efekt tej propagandy sprowadził się do złożenia przez 3 delegatów sprawozdań oraz do przystąpienia do T-wa 7 delegatów, którzy dotąd członkami T-wa nie byli. W myśl uchwały Wal. Zebrania zorganizowano stałą propagandę łowiectwa przez radjo t. zw. „chwilki łowieckie", których dotąd było 5. Uchwałą W. Z. co do poczynienia kroków w celu obniżenia tenuty dzierżawnej w lasach państw. załatwiono w drodze zainspirowania i umieszczenia odpowiedniego artykułu w dodatku łow. do „Słowa" („Trąbki myśliwskie"). Dalsze czynności Zarządu w okresie sprawozdawczym (1.VI.—28.II.) były następujące: odbyto 3 posiedzenia, wydano 5 numerów dodatku łow. do „Słowa", wypłacono 30 zł. nagród policji za walkę z kłusownictwem, wystąpiono do P. Z. S. Ł. o mianowanie 5 nowych delegatów łowieckich, z których 1 już został wyznaczony. Na wniosek Zarządu Tow. Łow. Z. W., P. Z. S. Ł. odznaczył złotym Medalem Zasługi Łowieckiej za zasługi hodowlane pp. Jana hr. Tyszkiewicza, Andrzeja hr. Tyszkiewicza, Wacława Świętorzeckiego, Karola Erdmana, Karola Wagnera i Mieczysława Tukałłę.

Po wysłuchaniu sprawozdania, na wniosek sprawozdawcy Walne Zebranie uchwaliło:— wezwać wszystkich pp. Członków i organizacje zrzeszone do usilnej agitacji na rzecz obsyłania trofeami i zwiedzania III Pokazu trofeów łowieckich, ze względu na propagandowy — wobec świata zagranicznego — charakter tegorocznego Pokazu.

Z kolei Skarbnik p. inż. P. Grodzki złożył sprawozdanie rachunkowe, zaś pp. przewodniczący adm. M. Borowski i F. Zawadzki, jako członkowie Komisji rewizyjnej, zgłosili wniosek o udzielenie Zarządowi absolutorjum, podkreślając oszczędną i celową gospodarkę T-wa. Wniosek przyjęto.

Następnie uchwalono preliminarz budżetowy na czas 1.III 1934 do 28.II. 1935 r., zamykający się sumą zł. 2499.50.

Na wniosek p. Pawlikowskiego powzięto następującą uchwałę: 1. Moc uchwały bonifikacyjnej z dnia 12.VII. 1933 r. przedłużyć do dnia 31 sierpnia 1934 r. 2. Po tym terminie skreślać z listy członków wszystkich tych, którzy zaległości (do r. 1932 włącznie) nie uregulowali. 3. Wezwać niezwłocznie wszystkich zalegających do jak najszybszego korzystania z bonifikaty.

Na prezesa T-wa został wybrany p. inż. Bolesław Świętorzecki, na wiceprezesów: pp. Wincenty Łuczyński i Michał Pawlikowski; na członków Zarządu: pp. pułk. Michał Pakosz, inż. Przemysław Grodzki i inż. Józef Łastowski, na zastępców członków Zarządu pp. Włodzimierz Korsak i Leopold Pac-Pomarnacki. Komisję rewizyjną w osobach pp. adm. Michała Borowskiego, Feliksa Zawadzkiego i Romana Rucińskiego obrano przez aklamację.

Wśród wolnych wniosków uchwalono dwa: 1. (p. Pawlikowskiego) — Witając z żywą wdzięcznością uchwałę Wydz. Wykonawczego P. Z. S. Ł. z dn. 19 stycznia r. b. o mianowaniu przez Związek nowych delegatów tylko pod warunkiem należenia ich do Tow. Łow. Z. Wsch. i, wychodząc z założenia, że wszyscy delegaci łowieccy na obszarze działalności T-wa powinni być jego członkami, — wezwać Zarząd do stałej i konsekwentnej akcji, by również i dawniej mianowani delegaci łowieccy zgłosili akces do T-wa. II. (p. M. Łukaszewicza): wezwać Zarząd do interwenjowania u pp. wojewodów wileńskiego, nowogródzkiego i białostockiego celem uregulowania stosunku pomiędzy delegatami, a władzami administracyjnemi.

Przed zakończeniem porządku dziennego zabrał głos przewodniczący p. adm. M. Borowski, omawiając pokrótce zadania Tow. Łow. Ziem Wsch. i wskazując główne cele ideowe T-wa, któremi winny być: — łowiecki punkt widzenia w ujmowaniu rozstrząsanych zagadnień — bez wchodzenia w atrybucję czynników ochrony przerody: — pielęgnowanie kresowych tradycyj

łowieckich z unikaniem ślepego, bezkrytycznego naśladowania Zachodu, w szczególności — utrzymania przepięknego polowania z ogarami; — wreszcie — dążenie do utrzymania, pielęgnowania i rozwijania polowania z wyżłem.

Przemówienie adm. Borowskiego zostało przyjęte hucznemi oklaskami.

Na zakończenie wysłuchano referatu gościa p. pułk. S. Błockiego o organizującem się „Towarzystwie popierania hodowli psa rasowego". W referacie swym mówca podkreślił znaczenie hodowli psa rasowego dla łowiectwa i zaproponował zebranym akces do przyszłej organizacji w charakterze członków-założycieli. W wyniku zgłosiło akces 13-tu obecnych.

Przed zamknięciem zebrania Sekretarz T-wa rozdał obecnym druki, dotyczące warunków konkursowych III Pokazu trofeów łowieckich oraz kwestjonarjusze, dotyczące rozmieszczenia jarząbka.

Na tem posiedzenie zamknięto.

ODEZWA

Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w Katowicach do wszystkich miłośników przyrody, kierowników szkół i naczelników gmin.

Zbliża się wiosna, radosna chwila budzącej się przyrody. W dobrze zrozumianym interesie ogółu obywateli naszego kraju leży, by ważna ta chwila dla rozmnoży ptactwa i pożytecznej zwierzyny otoczona była rozumną pieczą człowieka. Okres zimowy minął, potrzeba dożywiania ptaków i zwierząt dzikich naogół obecnie odpada, chodzi jeno o pozostawienie ich w spokoju i zabezpieczenie od bezmyślnej złośliwości ludzkiej.

ROLNICY!

Wszystkie ptaki, zwłaszcza śpiewające, to najlepsi Wasi sprzymierzeńcy w tępieniu przeróżnych, groźnych szkodników, głównie z rodziny owadów, których gąsienice niszczą corocznie Wasze uprawy.

OBYWATELE!

Tak ptactwo, jak i wszelka zwierzyna łowna, jest nietylko najpiękniejszą ozdobą pól i lasów naszej Ojczyzny, lecz stanowi prawdziwe bogactwo każdego kraju. Daje ona surowiec dla wielu gałęzi wyrobów przemysłowych, rokrocznie dostarcza poważnych ilości środków żywnościowych, i duże jest jej znaczenie w handlu i eksporcie. Dzięki niej tysiące ludzi znajduje pracę i możność życia. Stan ptactwa i zwierzyny jest we wszystkich kulturalnych krajach doskonały, gdyż kraje te pieczołowicie o to dbają, a ich ludność rozumie doniosłość tej sprawy.

Dlategoteż w imię dobra ogólnego wołamy:

1) Chrońcie ptactwo i zwierzynę przed niebezpieczeństwami;
2) Powstrzymujcie dzieci od niszczenia gniazd i piskląt;
3) Opatrzcie stare i zakładajcie nowe budki dla ptaków;
4) Tępcie bezwzględnie dzikie wybryki, skierowane ku niepokojeniu i niszczeniu ptactwa i zwierzyny;
5) Nie pozwalajcie nigdy, aby wasze koty i psy włóczyły się samopas po polach. Dbajcie, aby nie przymierały głodem;
6) Współdziałajcie z władzami bezpieczeństwa w tępieniu kłusownictwa i najbardziej groźnego dla zwierzyny i ptactwa zakładania sideł;
7) Propagujcie te idee wszędzie, w życiu prywatnem, w rodzinie i w szkole, gdyż całokształt polskiej przyrody z jej skarbami i pięknem jest wspólnem dobrem i własnością nas wszystkich;
8) Pamiętajcie, że kłusownictwo i wnykarstwo (zakładanie sideł) — to bezprawia, szerzące się tylko w krajach o małej kulturze i niskim stopniu moralnym obywateli i — jakże często prowadzą do zbrodni. Stojące na straży ładu i porządku Państwo tępi je też z całą bezwzględnością prawa, a w tem winien mu przyjść z pomocą każdy uświadomiony obywatel.

Panów Naczelników gmin prosimy o przedstawienie tej sprawy na najbliższych zebraniach gminnych, zaś do Panów Kierowników szkół zwracamy się z prośbą o urządzenie pogadanek na poruszony w niniejszej odezwie temat.

Za Zarząd Śląskiego Tow. Łowieckiego:
Inż. Wacław Paczkowski — prezes.
Inż. Dr Jan Podgórny — sekretarz.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU PRUŻANA.

W październiku ubiegłego roku część naszego pułku przeniesiona została do Berezy Kartuskiej, powiat prużański. Żal było opuszczać Włodawę, gdzie poza miłemi stosunkami, myślistwo zaczęło pomyślnie się rozwijać, dzięki niezmordowanej pracy pana starosty Andrzeja Sucheckiego. Pocieszano mnie i jeszcze czterech kolegów z pod sztandaru św. Huberta tem, że szare życie w małej mieścinie umili nam w wolnych chwilach od zajęć polowanie, którego wokół Berezy Kartuskiej nie braknie. Niestety rozczarowanie przyszło prędzej, niż należało tego oczekiwać i o niem tych słów kilka pragnę napisać.

Zacznę od kółek myśliwskich. W Berezie Kartuskiej istnieje wprawdzie kółko myśliwskie „Sielec", do którego w pięciu wpisaliśmy się, jednak do miana kółka myśliwskiego w całem tego słowa znaczeniu jeszcze mu dosyć daleko. Św. Hubertowi niech będą dzięki za to, że znaleźliśmy u miejscowych myśliwych dużo dobrej woli i chęci postawienia kółka na wysokości zadania, a to już jest dużym plusem. Reorganizacja kółka jest w toku. Jeżeli chodzi o tereny, są one naogół dobre i stanowić mogą bardzo dobrą ostoję dla zwierzyny. Smutnym jest tylko fakt, że około 80 proc. terenów dotychczas nie zarejestrowano. W sprawie tej poczyniono już kroki. Odnośnie ilości zwierzyny stwierdzić muszę, że stan jest gorszy, niż niewystarczający. Dla przykładu powiem, że na terenie jednej wsi 700 ha, polując sztrajtą w 5 strzelb i 15 naganiaczy, zabito 3 (!) zające (widziano 14). Na najlepszym terenie kółka o obszarze ponad 1500 ha, na polowaniu w 11 strzelb i 35 naganiaczy padło 22 zające. Kozłów jest niewiele, dziki przechodnie, kuropatw bardzo mało, cietrzewi niedużo, a kaczki — okaże dopiero wiosna.

Polowanie na „pomyka" bez ograniczeń było do czasu naszego przystąpienia do kółka nadzwyczaj modne, a ten sposób polowania chyba do poprawy stanu zwierzyny nie przyczyni się nigdy. Dziś pomyczek przechodzi tu, zdaje się, niepowrotnie do archiwum. Wałęsające się psy i koty mają tu jakgdyby raj. Zniszczyliśmy coprawda już kilkanaście sztuk, jednak sądzę, że jeszcze dużo zużyć trzeba będzie ołowiu, zanim będzie można pozbyć się tego groźnego wroga zwierzyny. Kart łowieckich dużo wydano ludziom, niekiedy niezasługującym na to, bo nie dalej, jak wczoraj, to jest 12.II. 1934 r. zawezwałem do naszego kasyna policjanta, aby zatrzymał gospodarza gminy Siechniewicze, Michała Czyża, który przywiózł kozła(!!) na sprzedaż, w dodatku opowiadał kucharzowi, że udało mu się zabić aż dwa (drugiego zdążył już sprzedać). Okazało się, że gospodarz ten posiada kartę łowiecką. Sądzę, że przykładów takich nie braknie. Sidlarstwo rozwija się zupełnie pomyślnie. A teraz korona wszystkiego. Przewertowałem kalendarz łowiecki za rok 1933 (za rok bieżący jeszcze nie otrzymałem) w poszukiwaniu za nazwiskiem delegata powiatowego, niestety, żadnego nie znalazłem. Próbowałem w podobny sposób znaleźć jakieś kółko na terenie powiatu, należące do Polskiego Związku Stow. Łowieckich*), niestety, ani jedno kółko do Związku nie należy. W powyższej sprawie przeglądałem wszystkie numery „Łowca Polskiego" za rok 1933 i bieżące numery, lecz i tam żadnych wiadomości nie znalazłem. A może to omyłka? Może zapomniano wydrukować? Dałby to dobry Bóg.

Wierzę, że może niedaleka przyszłość przyniesie zmianę na lepsze, może kompetentne władze zainteresują się powyższemi niedomaganiami.

HOLAT, kapitan.

*) W powiecie Prużana obszerne tereny posiada Poleskie T-wo Myśliwskie, zaś Koło Miłośników Łowiectwa dzierżawi wzdłuż rzeki Jasiołdy na przestrzeni przeszło 40 klm tereny o powierzchni z górą 14.000 ha.

Z POWIATU OPATÓW.

W ubiegłym sezonie zwierzostan w naszym powiecie nie uległ poważniejszej zmianie. Dał się zauważyć jedynie znaczny przyrost kuropatw w porównaniu z poprzedniemi laty. Natomiast stan zajęcy, sarn, oraz grubszej zwierzyny od całego szeregu lat trzyma się w tej samej mierze. Liczba lisów i borsuków w zastraszający sposób z każdym rokiem się zmniejsza i wkrótce już oba te gatunki zwierzyny staną się prawdziwą rzadkością w tych stronach.

Praca delegatów powiatowych jest ogromnie trudna, a nawet graniczy z beznadziejnością.

Składa się na to wiele czynników, z których najważniejsze są: brak współpracy władz administracyjnych z delegatami i obojętność kompletna ogółu myśliwych. Skutki tego są fatalne, bo kłusownictwo (głównie wnyki i sidła) rozwija się pomyślnie, a zwierzostan, pomimo znakomitych warunków lokalnych, naogół pozostawia bardzo dużo do życzenia.

Osobiście widzę na to jedynie ten sposób, aby starostwo zechciało nawiązać kontakt z delegatami i wysłuchało ich głosu doradczego przy wydawaniu kart łowieckich i dochodzeń policji w sprawie kłusownictwa.

Praktycznie tę sprawę ujmując, nie przedstawiałoby to tak wielkiej trudności, bo w zupełności wystarczyłoby wezwanie delegatów dwa razy na rok do starostwa w celu złożenia przez nich potrzebnych informacyj.

Prócz wielkiej pomocy, jaką dałoby to nieraz policji, miałoby i ten wielki pożytek, że podniosłoby znacznie prestiż delegata wśród myśliwych i zmusiłoby tych ostatnich do liczenia się z jego zdaniem.

Dotąd wszystkie starania delegatów w tym kierunku nie dały żadnego rezultatu, co wywołało ogólne zniechęcenie.

SEWERYN CICHOWSKI
Delegat P.Z.S.Ł. na powiat Opatów.

Z POWIATU TUREK.

Na terenie powiatu tureckiego (woj. łódzkie) jest 100 obwodów łowieckich o łącznej powierzchni 44.445 ha, z czego: obwodów własnych 47 o obszarze 18.505 ha i obwodów wspólnych 53 o obszarze 25.940 ha. Kół łowieckich 7. Kart łowieckich wydano w ciągu 1933 r. — 140. Policja państwowa odebrała w ciągu roku 60 sztuk broni myśliwskiej różnego rodzaju i sporo przyborów myśliwskich.

Stan zwierzyny jest naogół średni. Z grubszej zwierzyny trafiają się gdzieniegdzie dziki, zazwyczaj przychodzące w gościnę z lasów sąsiedniego powiatu. Sarny spotyka się już częściej, chronione przez poszczególnych myśliwych w obwodach własnych oraz na terenie lasów państwowych. Najczęstszą zdobyczą myśliwego na naszych terenach jest pospolity zając, spotykany w obwodach własnych w większej, w obwodach zaś wspólnych w mizernej ilości.

Z ptactwa spotyka się w naszym powiecie jedynie kuropatwa, dająca jesienią na niektórych terenach poprostu rekordowe rezultaty polowań.

Stan walki z kłusownictwem nie jest zadowalający; policja, przeciążona pracą, ogranicza się do słabej pomocy. Czynimy starania, aby starostwo zastosowało odpowiednie środki celem ukrócenia kłusownictwa drogą kar i kontroli wydawanych zezwoleń oraz wpływu na organy policyjne, celem podniesienia ich czynności.

JANUSZ SKRZYŃSKI
SYLWESTER RYDYGIER
Delegaci P.Z.S.Ł. na powiat Turek.

KŁUSOWNICTWO NA ŚLĄSKU.

Na terenie łowieckim księcia Pszczyńskiego, w Łące, gajowy Paweł Figołuszka natknął się 26 listopada r. ub. na kłusownika, usiłującego ustrzelić rogacza. W wyniku pościgu kłusownik zbiegł, porzuciwszy przerobiony karabin, naładowany trzema nabojami.

Na tym samym terenie 29 października r. ub. napotkał gajowy August Kaszyca Artura Kubickiego, szczującego bażanty dwoma psami. Gdy, pomimo zakazu, Kubicki nie chciał ustąpić, gajowy zastrzelił psa, a wtedy poszkodowany podniósł krzyk, zastrzelonego psa zawlókł do gajówki i, cisnąwszy go na podwórze, obrzucił gajowego stekiem obelg. Sprawę skierował Zarząd Lasów ks. Pszczyńskiego do sądu.

Ten sam gajowy zauważył 29 października r. ub., jak na szosie Wielka Wisła — Łąka przejeżdżające auto przystanęło nagle obok zagajnika i wtedy padł strzał do cieknących kuropatw, poczem jakiś mężczyzna wybiegł z auta i podjął zabitą zwierzynę. Auto szybko się oddaliło, wobec pościgu. Śledztwo wykazało, że pasażerami tego auta byli oberżyści z Pszczyny: Brandys i Michalik, auto zaś było własnością tego ostatniego. Na rozprawie Michalik tłómaczył się, że był pijany i zdawało mu się, iż jest na własnym terenie. S ą d g r o d z k i w P s z c z y n i e w y d a ł w y r o k u n i e w i n n i a j ą c y!

Gajowy Szczotka po pracowitych zabiegach pochwycił w Gostyniu 27 listopada r. ub. na gorącym uczynku dwóch wnykarzy, braci Myszorów, którzy swój niecny proceder oddawna uprawiali z niezwykłą zręcznością i szkodą dla zwierzostanu. Obydwaj wnykarze oddani są do dyspozycji sądu.

Kłusownik Karol Gatner ze Starej wsi zastrzelił 30 grudnia r. ub. w maj. ks. Pszczyńskiego, w biały dzień, bażanta, poczem szybko ulotnił się na rowerze, unosząc z sobą łup. Został jednak rozpoznany i przekazany sądowi.

Gajowy Stachoń schwycił na gorącym uczynku kłusownictwa Franc. Bialonia i Augusta Beigera w Łące, którzy 15 stycznia r. b. złapali w sidła bażancicę.

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

Gajowy Edward Berger przydybał na uprawianiu wnykarstwa Ryszarda Dudka i Ludwika Famuloka ze Starej Wsi. Dnia 20 stycznia r. b. przeglądali oni w zagajniku poprzednio założone wnyki i zdobyli trzy kury bażancie. Przyłapanym na tej robocie gajowy kury odebrał, a Zarząd skierował sprawę do sądu.

Strażnik graniczny Mikołaj Drapała złapał w Wilczy Dolnej Wilhelma Zwonkę, który w czasie ochronnym z floweru zastrzelił zająca, za co sąd grodzki w Rybniku ukarał go 30 zł grzywny.

Energicznie walczy z kłusownictwem gajowy Ludwik Slec w nadleśnictwie Wisła. W walce z trzema kłusownikami 30 lipca r. ub. wymieniony zastrzelił jednego z nich. U zabitego znaleziono świeżo wystrzeloną strzelbę, skradzioną niedawno w jednej z leśniczówek.

Strażnicy graniczni Piotr Pilarek i Wojciech Tobor z Koszęcina przytrzymali, po zaciętym pościgu, dwóch kłusowników: Jana Nalewajkę i Jana Szwengla. Odebrano im dwie strzelby i naboje. Sąd w Lublińcu wymierzył im karę 2 miesięcy więzienia.

Na terenach łowieckich ks. Hohenlohego z Koszęcina mnożą się także wypadki kłusownictwa, w którego zwalczaniu odznaczają się zwłaszcza gajowi: Halemba, Odoj, Brol, Bambinek, Smol, Kenig, Tyrol i Gerlic.

Policja wojewódzka ujawniła 45 kłusownictw, konfiskując broń, zwierzynę i przybory. Wielu policjantów odznaczyło się w r. 1933 gorliwością w tępieniu tej plagi i otrzymało premje względnie dyplomy od Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego. Posterunkowy Bolesław Ganczarczyk z Pszczyny stoczył ciężką walkę z trzema kłusownikami, w trakcie której zastrzelił jednego z nich, sam zaś został ciężko poraniony strzałami rewolwerowemi. Dwaj pozostali kłusownicy otrzymali po 6 miesięcy więzienia.

Dr. JAN PODGORNY.

DOBRE I ZŁE.

— Nr. 6 — 7 „Łowca" małopolskiego przynosi szereg ciekawych i pożytecznych artykułów. Na wstępie czytamy Witolda ks. Czartoryskiego „Kilka myśli o wychowaniu i samowychowaniu myśliwego". Jest to przegląd cnót, wad i błędów, a nawet grzechów myśliwskich, popełnianych przez nowych adeptów sztuki łowieckiej. Stwierdzenie tych faktów i spostrzeżeń przeplecione jest szeregiem rad i wskazówek, jak wyszkolenie myśliwskie należy zdobyć, lub stosować je do wychowanków.

Temat ten jest tak dawny i stary, jak dawnem jest uprawianie myślistwa w towarzyskiej formie zbiorowych polowań. Dotyczy

zarówno bezpieczeństwa współuczestników, jak ich praw i obowiązków, a więc dotyka w wielu punktach szczegółów etyki myśliwskiej.

Niestety, w świecie łowieckim spotykamy wciąż jeszcze zbyt wiele przejawów karygodnego lekceważenia i lekkomyślności, prócz tak jaskrawych wad, jak chciwość strzelaczy mięsa i t. p. Wielu myśliwych lekceważy nietylko etykę samą, która być winna ich katechizmem łowieckim, nietylko bezpieczeństwo innych, lecz jakże często sprawiają oni zamieszanie przez nieposzanowanie posłuchu, porządku i dyscypliny, psując sobie i innym polowanie.

Z tych właśnie względów temat ten nie stał się dotąd przestarzałym i powinien być od czasu do czasu publicznie podnoszony, nawołując wszystkich do właściwej sprawności i obyczajności łowieckiej.

— W artykule p. t. „To o tem, to o owem" zabiera głos Adam hr. Starzeński na temat miłości przyrody i obowiązku jej chronienia.

Autor w szkic ten, odzwierciadlający stan obecny odnoszenia się do tych zagadnień w społeczeństwie, kładzie cały zapas kwitnącego w nim samym uczucia miłości i troski o dobro i byt bogactwa naturalnego, otaczającego człowieka w całej przyrodzie.

Z politowaniem jak gdyby mówi o wypadkach obojętności, ze smutkiem i ubolewaniem — o szkodliwości tych, którzy w bezpośredniem zetknięciu z tworami przyrody nietylko ich nie kochają ani szanują, lecz bezmyślnie niszczą lub krzywdzą. Zato z prawdziwą radością i zapałem w słowach stwierdza, że wielbicieli przyroda nasza posiada już legjony i że ziarno, rozsiewane przez nich, pada na owocną glebę dusz młodzieży.

W zakończeniuześrodkowuje autor uwagę nad światem myśliwych, podkreślając, że posiadamy wśród nich wielką ilość wytrawnych i wzorowych, a jednocześnie doskonałych hodowców i mianuje ich współpracownikami ochrony przyrody — ideałem tej idei — w łowiectwie. Zaznacza wszelako, że niejednokrotnie myśliwską kurtkę przywdziewa „Szkodliwy" — pociesza nas jednak, że przeciwko temu panu mamy na szczęście do pomocy prawo łowieckie, które stanowi poważny hamulec, mający być wkrótce jeszcze bardziej przyciągniętym. Odwołuje się jednocześnie do prawa subtelniejszego, do etyki łowieckiej. Kończy w gorących słowach apelem o litość dla męczącej się zwierzyny, której często myśliwi nie poświęcają „strzału łaski", nieczułymi będąc na mękę postrzałka i pozostawiając to kijom naganiacza.

„Śmierć pod kijami, toć śmierć haniebna" — kończy autor — „panie Szkodliwy, pamiętaj o tem"!

Wspaniale, a jak delikatnie wyrażone!

A ja dodam: niechże ci wszyscy, którzy lekceważą męczącą się, postrzeloną zwierzynę, nie prowokują, by tej kropki nad i nie postawiono kiedyś na ich własnych plecach.

— Pan Władysław Karnkowski, dostarczający pismom łowieckim przekładów i wiadomości z czeskiego piśmiennictwa, zamieszcza w tym samym numerze „Łowca" dwie wzmianki: „Niewiniątka naszych łowisk" i „Wymowne cyfry". Są one oskarżeniem przez badaczy życia i obyczajów zwierząt dla niektórych szkodników, na których czoło wysuwa się pod względem niszczenia jaj, a nawet piskląt bażancich i kaczych (a więc niewątpliwie kuropatwich i innych ptaków łownych — *przyp. mój)* — jeż.

Założone przy zniszczonem gnieździe bażanta żelaza dały w różnych wypadkach następujące wyniki: złapano w ciągu sześciu dni 6 jeży obok 2 wron, 2 sójek; przy innem — 2 jeże; przy trzeciem 1 tchórza, 2 wrony i 2 jeże; przy czwartem wreszcie w ciągu 22 dni 1 tchórza, 1 srokę i 5 jeży.

Stwierdzono też agresywność i drapieżność jeży wobec gniazd kaczych (oharów czerwonych, hodowanych na wyspach archipelagu duńskiego). Jeże, sprowadzone tam dla niszczenia drobnych szkodników ogrodowych, niszczyły przedewszystkiem zwierzostan hodowli oharów tak dalece, że musiano wkońcu dla uratowania tych ostatnich wytępić jeże.

Prócz tego mowa jest tam o innych szkodnikach, jak żmija (rzucająca się i pożerająca małe bażanciki), węże wodne (niszczące jaja i pisklęta kuropatwie), kanie. O tych ostatnich podaje, że stwierdzono przy bażantarniach, iż żywią się one w 15% zwierzyną. Następuje wyliczenie, że, dajmy na to, 4 kanie, jakieby zamieszkiwały teren bażantorni, są w stanie od listopada do marca zniszczyć (wobec 15% ich pożywienia, branego z pośród bażantów) w 150 dni 92 bażanty, co przy stosunku płci 1 : 6 czyni 15 kogutów i 77 kur, a więc — prócz tych starych — przepada także przyszły jednoroczny wychów 156 młodych.

Autor artykułu ze „Straży Myślivosti", omawianego przez p. Karnkowskiego, podaje tylko przykłady i wyniki badań żołądków oraz obserwacyj zarówno współczesnych hodowców, jak i znanych dawniej z ich dzieł najpoważniejszych przyrodników. Nie stawia żadnych wniosków, pozostawiając je w odniesieniu do „niewiniątek" hodowcy samemu.

WUZET.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

W niniejszym numerze podajemy w całości odezwę, wydaną przez Śląskie Towarzystwo Łowieckie w Katowicach (Oddział Wojewódzki P. Z. S. Ł.), gwoli szerzenia w jak najszerszych warstwach społecznych idei ochrony zwierzyny. Odezwa ta jest zwrócona przedewszystkiem do kierowników szkół i naczelników gmin, a więc przeznaczeniem jej jest dotarcie do całej bez wyjątku ludności wiejskiej.

Potrzebę takiej akcji odczuwał cały świat łowiecki oddawna, starania zaś centrali łowiectwa naszego skierowne były ku uzyskaniu powagi dla tej akcji przez wydanie oficjalnego zalecenia centralnych władz państwowych — przedewszystkiem szkołom, jako placówkom wychowawczym młodzieży.

W Nr. 8 i 10 „Łowca Polskiego" („Przegląd wydawnictw" i „Ważne rozporządzenie") pisaliśmy o tem, jak do tej zdobyczy doszliśmy i jakie zalecenie w tym przedmiocie przekazane zostało przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego kuratorjom szkolnym.

To, do czego dąży Śląskie Towarzystwo Łowieckie zapomocą wydanej przez siebie odezwy, powinno stać się jednym z najważniejszych, aktualnych punktów programu działalności zarówno innych oddziałów wojewódzkich P. Z. S. Ł., jak i wszystkich stowarzyszeń łowieckich, poczuwających się do obowiązku popularyzowania najpilniejszych postulatów łowiectwa wśród społeczeństwa.

Jest to przeto ich zadaniem, a pieczę nad wykonaniem tego ideowego nakazu winni wziąć na siebie wszyscy łowieccy delegaci powiatowi, budząc wszędzie, gdzie tylko dokonać tego można, zainteresowanie ludzi, posiadających jakikolwiek kontakt ze szkolnictwem i władzami administracyjnemi.

W pracy tej, tak do dziś niewdzięcznej, dopomaga odtąd powaga okólnika ministerjalnego, zaś jej owoce zależeć będą wyłącznie od dobrej woli wykonawców, którym należy nieustannie przypominać potrzebę aktualizowania tego okólnika w życiu.

*

Żywot i myśli Kubusia, nakładem Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w Katowicach, str. 16.

Broszurka ta wydana została równocześnie z omawianą wyżej odezwą, a przeznaczoną jest dla dzieci szkół powszechnych. Zawiera krótkie opowiadanie z historji rodzinki zajęczej, składającej się z pięciorga maleństw, z których jeden tylko Kubuś doczekał dojrzałego wieku. Reszta zginęła w rozmaity sposób w dzieciństwie: jedno uniósł z sobą człowiek, schwytawszy je żywcem wśród pola; drugie złapał, rozszarpał i pożarł włóczący się po polu domowy kot; trzecie zginęło we wnyku i zostało rozdziobane przez wrony; czwarte wreszcie zadławił pozostający bez dozoru i niedostatecznie żywiony pies-kundel, wałęsający się ustawicznie za zdobyczą.

Do opowiadania wpleciona jest także historja gniazda kuropatwy, które odkryli wiejscy chłopcy i zabrali zeń wszystkie jaja, będące już na wylęgeniu.

Sens moralny opowiadania streszcza się w tem, że przyczyną niszczenia naszych zwierzostanów jest w większości wypadków człowiek, choć dzieje się to najczęściej bez jego korzyści własnej. Brak dozoru i niedbanie o własne zwierzęta domowe z jednej strony, zaś analfabetyzm kulturalny i bezmyślność z drugiej — stają się największymi wrogami zwierzyny łownej.

Prócz tego broszurka ta zawiera bajkę Mickiewicza: „Zając i żaba", oraz wiersz pod tytułem „Las" p. Michała Bukowskiego i bezimienny (jak i główne opowiadanie o Kubusiu) wierszyk p. t. „Gniazdko".

Książeczka, ozdobiona dziesięcioma poglądowemi rysunka-

mi — również nieznanego autora — złożona jest bardzo czytelnemi, dużemi czcionkami, pozwalającemi na odsylabizowanie treści nawet początkującej w nauce czytania dziatwie.

Nadzwyczaj celowe i dobrze pomyślane wydawnictwo stanowi bezsprzeczną zasługę wydawców w kierunku zwalczania szkodnictwa, spotykanego notorycznie wśród ludności wiejskiej. Należy je polecić wszystkim, pragnącym tą drogą rozszerzyć i utrwalić ochronę zwierzyny, a zarazem uświadomić najmłodsze pokolenie co do wartości i ceny życia stworzeń wogóle.

Zarys rozwoju Mieszczańskiego Towarzystwa Myśliwskiego „Nemrod" we Lwowie (1898—1934). Opracowano na podstawie protokólów posiedzeń, zapisków i osobistych wspomnien członków Towarzystwa. Str. 16.

Z powodu trzydziestopięciolecia istnienia, Towarzystwo Myśliwskie „Nemrod" we Lwowie wydało broszurkę, zawierającą historję swego rozwoju i działalności.

Jest to temat, który może zaciekawić niejednego myśliwego, interesującego się rozwojem naszego łowiectwa w jego przejawach organizacyjnych i ideowych, a także pod względem działalności gospodarczej.

Najbardziej powinna ona zainteresować stowarzyszenia myśliwskie, posiadające za sobą pewną kartę owocnej działalności własnej, a zamierzające, chociażby tylko dla grona swoich członków, upamiętnić ją drukiem z okazji ewentualnego jubileuszu.

WUZET.

ROZMAITOŚCI.

NIEBEZPIECZNY PROCH.

Dowiadujemy się, że na rynku krajowym pojawił się dymny proch myśliwski, który nawet oferowano jednej z firm w ilości 300 kg., jako proch Rottweil.

Próbkę tego prochu poddano dokładnemu badaniu. Wyniki tych badań, (przesłane do wiadomości Pol. Zw. Stow. Łow.) okazały się ujemne.

Na ich podstawie okazało się, że przedstawiona próbka jest mieszaniną prochu czarnego i bezdymnego i pochodzi prawdopodobnie z rozbrojenią. Niewiadomo w jaki sposób ten produkt dostał się do handlu.

Proch ten, jak to wykazuje analiza balistyczna, jest wysoce niebezpieczny dla strzelb słabszych, przeznaczonych do prochu czarnego i może spowodować rozerwanie broni. Ze względu na to, podajemy powyższe do wiadomości zainteresowanych firm handlowych, oraz w celu ostrzeżenia myśliwych przed mogącemi się zdarzyć wypadkami.

PIERWSZY POKAZ—TARGI SPRZĘTU SPORTOWEGO.

W czasie od dnia 28 kwietnia do dnia 22 maja r. b. na terenie „Łobzowianki" w Warszawie będzie urządzony „Pierwszy Pokaz-Targi Sprzętu Sportowego". Reprezentowane będą następujące działy:

1) atletyka, 2) automobilizm, 3) bokserstwo, 4) camping, 5) gry sportowe, 6) gimnastyka, 7) jeździectwo, 8) kajakarstwo, 9) kolarstwo, 10) lawn-tennis, 11) lekkoatletyka, 12) łowiectwo, 13) łucznictwo, 14) motocyklizm, 15) piłka nożna, 16) pływactwo, 17) strzelnictwo, 18) szermierka, 19) szybownictwo, 20) tennis stołowy, 21) turystyka, 22) wędkarstwo, 23) wioślarstwo, 24) yachting motorowy, 25) żeglarstwo.

Biuro Dyrekcji mieści się w Warszawie przy ul. Jasnej Nr. 22, tel. 2-41-99.

Kierownictwo organizacji imprezy znajduje się w rękach dyr. mg. B. Miercałowa, który w ubiegłym roku z nieprzeciętnym wynikiem zorganizował w Warszawie „Wystawę Sportów Wodnych".

Z OSTATNIEJ CHWILI.

PSY W TRAMWAJACH.

Jak dowiadujemy się, z dniem 9 b. m. dyrekcja tramwajów miejskich zezwoliła na przewóz w wagonach tramwajowych psów (narazie tytułem próby), które będą mogły korzystać z tej lokomocji w dni powszednie od godz. 9 rano, zaś w niedzielę i święta bez żadnego ograniczenia.

Opłata za jednorazowy przejazd psów pobieraną będzie w wysokości 25 groszy. Duże psy wolno będzie przewozić wyłącznie na pomostach wozów przyczepnych, małe zaś — wewnątrz wszystkich wozów.

Inowację tę, której potrzebę właściciele psów myśliwskich wysuwali oddawna, witamy dziś z prawdziwą radością, zyska na niej bowiem świat myśliwski wiele, mając odtąd łatwiejszą możność wywożenia psów za miasto zarówno dla odbywania tresury, jak i na polowania, co niewątpliwie wpłynie również na rozwój hodowli psów rasowych w stolicy.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 10 „Łowca Polskiego" pod nowelką „Dungaj", mylnie wydrukowano nazwisko autora, które winno brzmieć: Tytus Karpowicz.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

Przez cały kwiecień polować wolno na:

głuszce-koguty, cietrzewie-koguty, dzikie indyki-samce, słonki, bataljony, dzikie kaczory, dzikie łabędzie i dzikie gęsi.

Prócz tego na następujące gatunki, na które wolno polować przez cały rok:

wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

ŚCISŁY KOMITET REDAKCYJNY: Jerzy Dylewski, Walenty Garczyński i Władysław Zabiełło.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogl. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

„ŁOWIEC POLSKI"

jest organem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, zrzeszającego myśliwych z całej Rzeczypospolitej. Na łamach „ŁOWCA POLSKIEGO" odźwierciadla się łowiecka myśl polska, z dnia na dzień głębsza, wytrwale dążąca do swoich celów, niezrażająca się przeciwieństwami, samodzielna i rozważna.

Dokoła „ŁOWCA POLSKIEGO" gromadzą się najwybitniejsi pisarze łowieccy całego kraju, dla których „ŁOWIEC POLSKI" stał się naturalną trybuną.

„ŁOWIEC POLSKI" zamieszcza artykuły ze wszystkich dziedzin łowiectwa, beletrystykę łowiecką, wskazówki prawne i fachowe, wiadomości bieżące, odźwierciadlające życie łowieckie w poszczególnych częściach kraju i t. p.

„ŁOWIEC POLSKI" jest ilustrowany pięknemi zdjęciami fotograficznemi scen myśliwskich, wykonywanemi przez myśliwych, jego czytelników.

Na łamach „ŁOWCA POLSKIEGO" skutecznie są zamieszczane ogłoszenia ze wszystkich branż, z łowiectwem związanych, jako to: dzierżawa terenów; handel zwierzyną żywą dla rozmnoży; skup zwierzyny bitej; nasiona i sadzonki roślin i krzewów remizowych i pastewnych; sztuczne pasze dla zwierzyny i psów; siatki ogrodzeniowe i wolierowe; żelaza, kosze i t. p. przyrządy do chwytania szkodników; tranzakcje psami myśliwskiemi; broń i amunicja; myśliwskie utensylja skórzane i inne; przybory podróżne; walizki żywnościowe i wszelkie drobiazgi z tego działu; wszelka odzież myśliwska; obuwie myśliwskie kapelusze i czapki; instrumenty optyczne; aparaty fotograficzne; wyprawa skór, oprawa rogów, wypychanie zwierząt; instrumenty sygnałowe; wabiki wszelkiego rodzaju; różne przedmioty wyposażenia domków myśliwskich; wydawnictwa prac fachowych i beletrystyki; poszukiwanie pracowników łowieckich — i t. p.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 35,
TELEFON 607-98, 666-15.

OSTATNIA NOWOŚĆ!
BROWNING-LILIPUT oryginalny F. N.



kal. 6.35, **7-mio strzałowy**, wagi tylko 250 grm., wyrobu słynnej **Fabrique Nationale d'Armes de Guerre**, Herstal-lez-Liége, oraz Browningi małe kal. 6.35, lub większe kal. 7.65 do nabycia

w Warszawskiej Spółce Myśliwskiej
w Warszawie, ulica Królewska 17,

lub w oddziałach

w Poznaniu Gwarna 12, **Lwowie** pl. Marjacki 4, **i Wilnie** Wileńska 10,

oraz w lepszych składach broni

Strzec się bezwartościowych naśladownictw!

CENNIKI BEZPŁATNIE NA ŻĄDANIE

Inż. LUDWIK SZMID
TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 639-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

JAKÓB MAREK
MAGAZYN OBUWIA
Warszawa, Bielańska 22
TELEFON 12-16-05
Rok założenia 1869
POLECA
BUTY MYŚLIWSKIE



„Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie ma do wydzierżawienia następujące obwody rybackie:

1) Nadleśnictwo Państwowe Bolechów — rewir Nr. 11 Świcy o pow. 24 ha czynsz według umowy — Rzeka górska, pstrąg lipień.

2) Polanica — rewir Nr. 10 Świcy o pow. 132. 93 ha. czynsz według umowy. — Rzeka górska, pstrąg lipień.

Oferty i zapytania należy kierować do Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie, ul. Chorążczyzny 17, tel. 2-55".

Dyrekcja Lasów Państwowych.
W zastępstwie
(—) Inż. J. Markiewicz.

„Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie sprzedaje odstrzał głuszców _ kogutów na terenach wysokogórskich w cenie 40—75 zł. od jednej sztuki.

Bliższych informacyj odnośnie rewirów, zakwaterowania i dojazdu udziela Dyrekcja telefonicznie Nr. 2-55 względnie listownie".

Bażanty czystej krwi Mongoły, Torquatusy Złote, Diamentowe, **kuropatwy,** króliki i kaczki dzikie, jajka bażancie, nasiona i sadzonki roślin pastewnych i drzew leśnych poleca Zarząd Lasów XX Czartoryskich Nadleśnictwo Babki poczta Krześlny powiat Poznań. Bezpłatne cenniki!

Dubeltówkę dwunastkę w dobrym stanie mało używaną, możliwie cięższego typu, dobrej marki, kupię. Knutz W-wa Marszałkowska 31a tel. 8-25-86

Jajka bażancie, Mongoły, Torquatusy, Złociste, Diamentowe, **Bulwy** do zakładania remiz, poleca tanio Nadleśnictwo Miłosław (Poznańskie).

Krekuchy kaczki ma na sprzedaż maj. Jachimówszczyzna W. Świętorzeckiego. Cena za sztukę kaczka 15 zł., kaczor 10 zł. Adres: poczta Połoczany.

Psa - tropowca wszechstronnie ułożonego kupi Nadleśnictwo Rudniki. Oferty z podaniem wieku, oraz ceny kierować do Nadleśnictwa Rudniki poczta Rudniki k/Jaszczun.

Ważne dla hodowców drobnej zwierzyny! „Kamata" przynęta na koty, tchórze kuny, łasice — 1/4 kg porcja służy do schwytania w łapki 20-30 sztuk. Opis użycia dołączony do słoika. Cena zł. 8. —. Modele pułapek, najodpowiedniejszych do zastosowania przy zakładaniu „Kamaty" w 1/4 wielkości normalnej, w cenie zł. 7.50. Do nabycia w Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich: Nowy Świat 35.

Zakł. Druk. r. Wyszyński i S-ka, Warszawa.